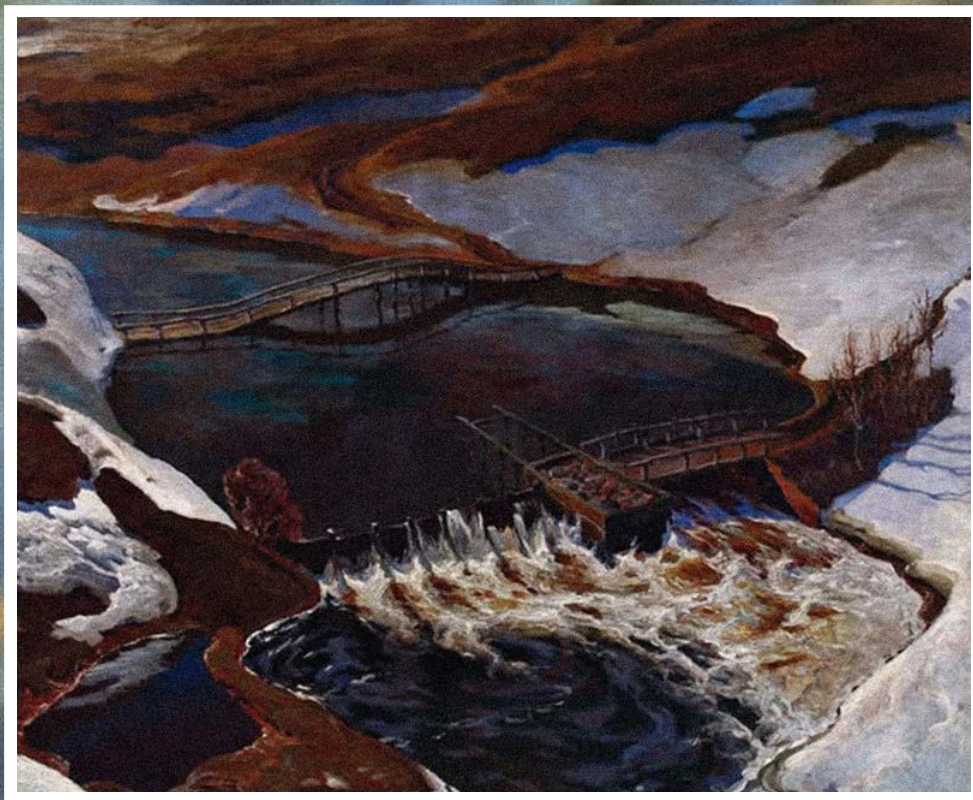


ISSN 1507-4781 * ROK XXVIII * ZIMA (I, II, III) 2025 * nr 103

FORUM 103

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Ferdynand Ruszczyc
Z brzegów Wilejki, 1900

W numerze m.in.:

- Francois Villon, *Wielki testament* – tłum. Tadeusz Boy-Żeleński – cz. II
- Jan Woleński, *Religia w szkołach*
- Adam Jaśków, *Moje rozważania o ateizmie*
- Jan Hartman, *Konkordat a Konstytucja*
- Danuta Stolarek, *Inessa Armand – Muza Lenina*



1 **OD REDAKCJI**

TEMATY SPRZED LAT

- 2 Piotr Augustynek – *Inny tekst – inny Boy* – cz. II
3 *François Villon – Wielki Testament* – cz. II

MYŚLAĆ BELFREM

- 15 Piotr Augustynek – *Oj, będzie ciężko*
17 Jan Woleński – *Religia w szkołach*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

- 22 Bogumił M. Woźniakowski – *Literaccy patroni roku 2025 i ich związki ze sztuką królewską*

UŻYWAJMY ROZUMU

- 30 Jan Hartman w rozmowie z Ewą Kaletą (portal wyborcza.pl)
34 Adam Jaśkow – *Moje rozważania o ateizmie*

RELACJE PAŃSTWO-KOŚCIÓŁ

- 36 Jerzy Kornaś – *Suwerenność państwa polskiego a Kościół Rzymskokatolicki. Refleksje historyczne i współczesne*
41 Jan Hartman – *Konkordat a Konstytucja*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 47 Danuta Stolarek – *Inessa Armand – Muza w. Lenina (czerwony trójkąt?)*

FELIETONY

- 61 Marchoń – *Poszukiwany, poszukiwana*
62 Babcia – *Ciut przyzwoitości*
63 Adam Jaśkow – *Dzień święty święcić*

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady
mgr Magdalena Mrugała
– sekretarz Rady

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Jan Hartman,
prof. dr hab. Wojciech Kajtoch,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
dr Paweł Sękowski,
dr Sławomir J. Tabkowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.



OD REDAKCJI

Pod koniec grudnia zwykle podsumowujemy, dokonujemy korekt i planujemy, uzgodniwszy wspólnie, życzenia na najbliższą przyszłość. Dalszej nie możemy przewidywać ze względu na średnią wieku i niedostatki wyobraźni.

Podsumowanie wypada nam nie najgorzej, jeżeli brać pod uwagę zawartość i poziom merytoryczny naszego kwartalnika i jeśli wierzyć recenzji Przewodniczącego Rady Programowej FMW. Jego opinie bywają nieraz surowe, ale zawsze obiektywne.

Tak więc pozyskaliśmy oto – do Rady i kwartalnika – znakomitego dziennikarza i kompetentnego autora – doktora Sławomira J. Tabkowskiego; wybitnego profesora filozofii Jana Woleńskiego, który przez wiele lat uczył logiki oraz etyki na Uniwersytecie Jagiellońskim; świetnego literaturoznawcę i długoletniego nauczyciela, profesora Wojciecha Kajtocha; specjalizującą się w filozofii kultury, profesor nadzwyczajną Uniwersytetu Jagiellońskiego, Joannę Hańderek.

Czego zaś życzymy, sobie i naszym Czytelnikom w tym trudnym czasie? Kiedy nadal jesteśmy pomiędzy młotem na czarownicy (współczesnych Kramero-Sprengarów) a kowadłem tolerancji dla kagańca antynaukowego irracjonalizmu, mylonego jakże powszechnie (u nas) z kagankiem oświaty? Niczym w słynnym Pasie Biblijnym w USA, gdzie wykładanie o ewolucji jest w szkołach zabronione. No więc życzymy sobie i wszystkim naszym Rodakom większości mądrych ludzi w naszym Sejmie, ażeby mogły być wreszcie uchwalane rozsądne inicjatywy ustawodawcze w rodzaju obowiązkowego przedmiotu szkolnego „Edukacja zdrowotna” lub „Edukacja prozdrowotna”, w którym – dla klas licealnych – znajdują się również treści niezbędne przyszłym rodzicom, a których znajomości nie wymaga się od nowożeńców. Bo jeśli można nie zdać egzaminu na prawo jazdy (nieraz za czwartym czy piątym podejściem), to obowiązkiem szkoły powinno być też kształcenie psychologiczne i kształtowanie umiejętności życia społecznego; w szczególności w odniesieniu do podstawowej komórki społecznej, jaką jest rodzina.

Nadto życzymy sobie dwustronnego kontaktowania się z naszymi czytelnikami, ich komentarzy oraz opinii. Dzięki nim będziemy mogli potwierdzać zasadność obranej przez nas linii, lepiej spełniać ich słuszne oczekiwania i szlifować formę kwartalnika.

A o czym marzymy? O dotarciu do młodych i o pozyskaniu ich potencjału twórczego oraz społecznego. Także o tym, czego jeszcze w najbliższej przyszłości nie sposób się spodziewać, to jest o możliwości kolportażu naszego kwartalnika. Gros naszych czytelników bowiem nie porusza się łatwo po Sieci (inaczej: Internecie), a poza tym lubi trzymać w ręce pismo na papierze, nie na tablecie czy laptopie.

Czytelnikom, zaś życzymy zdrowia, ale i poczucia sensu, wynikającego z umiłowania prawdy i używania rozumu. Tylko tyle i aż tyle.

Redakcja

Prof. dr. hab.

JÓZEFA LIPCA

Filozofa sportu, etyka, propagatora idei olimpizmu,
członka Rady Programowej Forum Myśli Wolnej,
wychowawcę wielu pokoleń studentów.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

Redakcja.



Inny tekst – inny Boy

Część II

Znowu spotykamy się z talentem naszego Patrona. Tym razem z talentem translatorskim. Od razu trzeba poczynić konieczne zastrzeżenie: wielu twierdzi, że Boy przekłada Villona na... język nieistniejący, a więc...

A więc co z tego? To, że polszczyzna z pierwszej ćwierci dwudziestego stulecia niełatwo „da się zawrócić” do formy piętnastowiecznej francuszczyzny, a więc Boy postąpił genialnie. Tam, gdzie mógł, dosłownie „ulepił” swoje tłumaczenie z różnorodnej materii językowej. Puryści (a gdzie ich nie ma?) starają się utopić Boya w zalewie miątkiej krytyki. Nie szkodzi, bo TO SIĘ CZYTA! Tylko odbiorca pozbawiony wyobraźni będzie się czuł zagubiony w tym tłumaczeniu.

Liczy się tutaj zupełnie co innego. Duch czasów minionych, uniwersalne (choć nieraz frywolne) treści dotyczące każdego z nas, wciąż zadawane pytania o to co ważne. A odpowiedź?

No, cóż. Czasem po prostu odpowiedź nam umyka, nie da się określić wprost. Tak było, jest i będzie. A wniosek? Chyba tylko taki, że najważniejsze jest to, by umieć postawić pytanie, podjąć próbę nazwania rzeczy po imieniu. A reszta? Tym razem zajrzyjcie do „Hamleta”.

Piotr Augustynek



XV-wieczna scena egzekucji – Źródło: British Library MS Harley 4379 f. 64.

François Villon – WIELKI TESTAMENT

BALLADA O PANIACH MINIONEGO CZASU

Powiedz mi, gdzie y w iakiej ziemi
Iest Flora, rzymska krasawica[63];
Archippa[64], cud między cudnemi,
Tais[65], stryieczna iey siostrzyca?
Ty, Echo[66], co głos wracasz skory,
Gdy pomknie nad strumienia biegi,
Mów, gdzie są Piękne dawney pory?...
Ach, kędyż [67]są drzewiejsze[68] śniegi![69]

Powiedzcie, kędy iest uczona
Helois[70], dla miłości kótory
Abeylart Piotr[71], zmienion w kapłona[72]
Żał swóy w klasztorne zamknął mury?
Podobnież, gdzie ta monarchini,
Co, śmiertelnemi szyjąc ścięgi[73]
Worek, gachowi[74] grób zeń czyni?...
Ach, kędyż są drzewiejsze śniegi!

Królowa Blanka[75], iak liliia,
Syrenim głosem zawodząca,
Berta[76] o wielkiej stopie, Liia[77],
Bietris[78], Arambur[79], Alys[80] wrząca,
Iohanna[81], co w męzczyźńskiey szacie
Anglików gnała precz szeregi,
Gdzież są? Wy mówcie, ieśli znacie?...
Ach, kędyż są drzewiejsze śniegi!

Przesłanie

Nie pytay, kędy hoże dziewki
Idą stąd, y na iakie brzegi,
Iżbyś nie wspomniał tey przyśpiwki:
Ach, kędyż są drzewiejsze śniegi!

BALLADA O PANACH DAWNEGO CZASU, PROWADZĄCA DALEY TEN SAM PRZEDMIOT[82]

Co więcey? Gdzie iest Kalist trzeci[83],
Ostatni dziedzic swego tronu,
Przez Chrystusowe czczony dzieci
Y Alfons[84], władca Aragonu;
Y Artus, diuk Bretanii chrobry,
Y ów Burboński xiążę grzeczny,
Y Karol siódmy zwany Dobry?...
Kędy Szarlemań[85] iest waleczny!

Gdzie król ów Szkocki bywa młody
Co, iako prawią, miał pół gęby
Czerwone w leśney kształt jagody,
Od czoła prawie aż po zęby;
Król Cypru, xiążę wiekopomne,
Hiszpaniey król ów nieprzeczeczny,
Kótorego miana iuż nie pomnę?...
Kędy Szarlemań iest waleczny!

Nie chcę iuż więcey gadać, głupi:
Wszystko to ieno dym y mara;
Nikt się od śmierci nie wykupi
Za berło ani za talara;
To iedno ieszcze: król Bohemii
Lancelot[86], y ów długowieczny
Dziedzic iego, gdzie są?... Pan Bóg z niemi!...
Kędy Szarlemań iest waleczny!

Przesłanie

Gdzie Klakin, zacny pan Bretoński?
Gdzie iest Owerniey graf dorzeczny,
Gdzie dobry xiążę Alansoński?...
Kędy Szarlemań iest waleczny!

BALLADA W TEYŻE SAMEY MATERYEY[87]

Gdzież są te święte apostoły,
Ubrane w alby[88], strojne w mitry[89]
Y opasane w święte stoły[90],
By niemi czarta za kark chytry
Chwytać, gdy skrada się zdradliwie?
Śmierci otwarte w krąg wierzeie:
Precz znika z ziemi to, co żywie,
Hey, iak ten wicher, co w polu wieie...

Gdzie iest ów z Konstantynopola
O złotey garści cysarz zbożny?
Gdzie Francyei iest maiestat króla,
Nad insze króle wielgomożny,
Co wznosił klasztory y świątynie,
W Bogu pokładłszy swe nadzieie:
Niegdy tak barzo czczony, ninie[91]...
Hey, iak ten wicher, co w polu wieie...

Gdzie ów z Wiieny[92] y Grenobli
Delfin[93] waleczny, niebosiężny?
Gdzie ów z Dyżonu[94], Salins, Dobl,
Panów y xiążąt huf orężny?

Gdzie ich dworzanów ciżba płocha,
Heroldy, dworki, darmożreie?
Małoż napchali do bandziocha?...
Hey, iak ten wicher, co w polu wieie...

Przesłanie

Xiążeta, nie uydziecie doli,
Co w spolne spycha was koleie,
Czyli[95] was mierzi to, czy boli...
Hey, iak ten wicher, co w polu wieie...

XLII

Skoroć papieże, króle władne
— Iak inszy lud urodzon w męce —

Pomarły, y są dzisiaj żadne,
Y zdały władzę w inne ręce,
Ia, nędzarz, ia, ladaco płochie,
Nie miałbych umrzeć? Wyrok boży!
Bylebych zaznał wczasu trochę,
Śmierć mnie uczciwa nie zatrwoży.

XLIII

Świat ten, zaiste, nie iest wieczny,
Iako łupieżca możny mniema;
Wszystkich nóż czeka obosieczny:
Lepszey pociechy ponoś nie ma
Staremu, co za młodu słynął
Z uciesznych figłów y trefności[96]:
Wierę, ze wzgardą bych go minął,
Gdyby na starość trwał w tey młodości[97].

XLIV

Dzisiaj mu skomleć boday chleba,
Do tego doła go przymusza;
Przed śmiercią drzeć mu wciąż potrzeba;
W męczeństwie żywie iego dusza:
Ha! Gdyby nie przed Stwórcą trwoga,
Strasza by wzięła go ochota:
A czasem, wręcz zadrwiwszy z Boga,
Nędznego zbawi się żywota.

XLV

Ieśli mu młodość była kwietna,
Dziś dni nadeszły szare, brzydkie;
Zawždy iest stara mała szpetna,
Y takż iey figłasy wszystkie.
Gdy milczy, w onym smutnym czasie,
Powiedzą: «Koniec iuż błaznowi»;
Gdy gada, milczeń każą zasiać,
Iż nie ma smaku w tem, co mówi...



Diabeł i nieuczciwa szynkarka

XLVI

Tak one biedne kobiecieća,
Stare ze wszytkiem y bez soku,
Patrząc na młode, na dziewczęta
Rade, budzące radość w oku,
Pytają Boga, czemu, czemu,
Tak wczesnie dano im się zrodzić?
Bóg milczy: bowiem, po dobremu,
Niełacno racją im wygodzić.

ŻALE PIĘKNEY PŁATNERKI[98] DOBRZE JUŻ SIEGNIĘTEJ PRZEZ STAROŚĆ

Zda mi się, iakbych słyżał skargi
Płatnerki *piękney* — gdzie te czasy! —
Iak żali się zwiędłemi wargi
Y het, do dawney wzdycha krasy:
«Ha! Ty starości, coś tak wczesnie
Z nóg mnie zwaliła, ty niedobra?
Cóż dłoń mą trzyma, bych boleśnie
Wnet się nie pchnęła między ziobra?»

«Zabrałaś mi tę iurną pychę,
Iaką czerpałam z mey urody,
Nad kupce, klechy, żaczki liche;
Naówczas bowiem stary, młody,
Wszelki człek dały, co bych chciała,
Choćby y dusił grosz natwardziey,
Bylebych zwolić mu przystała
Tego, czem dziad dziś wszawy gardzi!»

«Ha! Nieiednemum odmówiła
— Ileż-to czasu stradanego! —
Dla chłopca, com go ulubiła
Y com ta mogła, pchałam w niego;
Ienszym patałam to y owo,
Tegom kochała, do stu katów,
A on, ieśli mi dobre słowo
Rzekł czasem, to dla mych dukatów!»
Miłość niespełniona

«Ile chciał, mógł mnie poniewierać,
Deptać — ot, tak iuż człek się wluł —
Mógłby mi kazać chrusty zbierać,
Byleby czasem przyhołubił,
Wraz[99] przepomniałam mey niedoley!...
Świntuch, chorobą żarty sprośną,
Ścisnął mnie... Wspomnieć serce boli!
Cóż mi ostawił? Wstyd rzec głośno...

«Umarł — iuż dawno! — Leży w grobie,
A ia szedziwa tu ostałam;
Gdy wspomnę, w oney szczęsney dobie
Czem byłam, a czem dziś się stałam,
Gdy w wieczór nagą się oglądam
Y widzę się tak odmienioną,
Nędzną, wyschniętą, śmierci żądam,
Taka mi wściekłość szarpie łono».

«Cóż się z tem czółkiem stało ślniajem,
Kosa[100] blond, brwią wygiętą w górę,
Spożrzeniem radem[101] a palącem
Co lazio chłopu het, za skórę?
Z tym noskiem zgrabnym, wdzięczną bródką,
Uszkami zmyślnie wyciętymi,
Z tą buzią, taką iasną, słodką,
Z pięknymi wargi rumianemi?»

«Co się zrobiło z karczkiem gładkim,
Ramionkiem krągło utoczonym,
Z cyczuskiem drobnym, z iędnym zadkiem,
Wyniosłym, schludnym, wręcz stworzonym
Na harców czułych przystań lubą;
A lędźwie, a ten słodki Raik,
Między ud parą krzepką, grubą,
Niby zaciszny, ślęczny gaik?»

«Czoło zmarszczone, włosy siwe,
Brwi oszedziałe[102], oczy szkliste,
Niegdy wesole, rozkoszliwe,
Niecące w krąg szaleństwo czyste;
Nos zakrzywiony, szpetny zgola,
Uszy kosmate y pobladle,
Gardziel obwisła iak u woła,
Broda y usta w głab zapadle:»

«Otoć piękności kres człowieczy!
Wyschnięte ręce y ramiona,
Łopatki wcale nic do rzeczy,
Szpetnie zmarszczony brzuch, wymiona,
Biedra nie lepsze też od brzucha;
Raik? Tfy! Udo, niechay zginę;
Nie udo, ale gałąz sucha,
Pstro nakrapiana w centki sine».

«Tak dobrych czasów żaluujemy,
Gromada starych wieźm, siedząca
W kuczki, w żalości grzęznąc niemey,
Łachmanów kupa, ot, cuchnąca;
Niby konopnych sznur paździerz[103],

Co ledwo zatli się, iuż gaśnie;
Niegdy kwiat ziemi, cudny, świeży:
Otoć samicza dola właśnie!»

BALLADA PIĘKNEY PŁATNERKI DO DZIEWCZĄT LETKIEGO OBYCZAJU

«Pomniy ty, młoda Rozalii,
Co rady żądasz w oney dobie,
Y ty, nadobna Cencylii,
Teraz iest myśleć czas o sobie.
Bierz ieno chłopów, szaley z niemi,
Bierz pilno, by pirszego z brzegu:
Bo starzy są tu, na tey ziemi,
Iak grosz, co wyszedł iuż z obiegu».

«Y ty, szewczycho Wilhelmino[104],
W tańcu wszelakim dobrze szczwana,
Też ty, rzeźniczko Katarzyno,
Nie chcey obrażać Stwórcy Pana:
Toć wszystkie, wszystkie, iakże wcześniej
Starość powoła do szeregu!
Tak lube, iako zgniłe trześnie
Lub grosz, co wyszedł iuż z obiegu»...

«Ioaśko, ty tam, młynarzowa,
Omotać się iednemu nie day;
Ty, Zośka, coś iak orzech zdrowa,
Gdzie możesz, krasę swoią przeday;
Minie uroda, gładkość luba
Stopi się w kształt brudnego śniegu:
Tyle wam będzie wasza chluba,
Co grosz, wypadły iuż z obiegu».

Przesłanie

«Patrzenie, dziewczęta; łatać kiecki,
Łzy roniąc przy każdziutkim ściegu,
Iż mnie ostawił los zdradziecki
Iak grosz, co wyszedł iuz z obiegu».(...)

BALLADA, IAKĄ WILON NAPISAŁ NA PROŚBĘ SWEY MATKI, ABY UBŁAGAĆ ŁASKI NAYŚWIĘTSZEY PANNY

Królowo niebios, cesarzowo ziemi,
Pani monarsza czeluści piekielnych,
Przym mnie, pokorną między pokornemi,
Niech pośród sług twych siądę nieśmiertelnych,
Mimo, iż barzo niegodna twej łaski.
Dobroć twa, pani nadziemskiej pociechy,
Więtsza o wiele niżli moje grzechy;
Bez niey daremnie duszy się wydzierać
Tam, kędy świecą wiekuiste blaski.
W tey wierze pragnę żyć, iak y umierać.

Twemu Synowi powiedz, że w nim żyję;
Iżby me grzechy wymazał do tyła,
Iako Egipską rozgrzeszył Maryię[145],
Lub iak wybawił mędrca Teofila,
Który przez Ciebie spełnił święte dzieła,
Mimo iż djabłu zaprzedał swą wolę[146].
Strzeż mnie, bych w taką nie popadła dole,
Dziewico, któraś, nie racząc otwierać
Żywota[147], owoc bez zmaży poczęła.
W tey wierze pragnę żyć, iak y umierać.
Prostaczka iestem stara y uboga,
Nic nie znam — liter czytać nie znam zgoła —
Oprócz parafii mey niskiego proga,
Gdzie ray oglądam y harfy dokoła,
Y piekło, w którym potępieńców prażą.
Iedno mnie trwoży, drugie zaś raduie:
O day, Bogini, niech wciąż radość czuię!
Ku tobie duszy day grzeszney pozierać,
Z ufnością w sercu y rzetelną twarzą.
W tey wierze pragnę żyć, iak y umierać.

Przesłanie

W twoim żywocie, o można Bogini,
Iezus, rzuciwszy precz niebiańskie kraie,
Począł się: dla nas oto cud ten czyni,
Opuszcza niebo y spieszy nas wspierać;
Na śmierć swą krasę młodzieńczą oddaie,
On naszym Panem, y iego wyznaie.
W tey wierze pragnę żyć, iak y umierać. (...)

BALLADA WILONA DLA SWEY MIŁEY

Zwodna miłości, cierpieniem zbyt droga,
Okrutna w skutku, w słodczy obłudna;
Miłości twardsza niżli stal złowroga,
Mogę cię nazwać, morderczyni cudna:
Serca biednego ty śmiertelny czarze,
Pycho sekretna y wszystkim iednaka;
Oczy okrutne! Czyż ludzkość nie każe
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka?

Lepieybych czynił, szukaiąc pomocy
Indziej, w przystani iakiey barziej lubey:
Nic mnie nie zdoła wybawić z twej mocy;
Trzeba mi pchać się sromotnie do zguby;
Eyże! Mężczyzna, czy też dziecko ze mnie?
Y coż stąd? Zginę, skoro doła taka...
Choć litość radzi, niestety daremnie,
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

Przydzie ta chwila, kiedy czas, zbyt skory,
Pożółci, zmarszczy twe nadobne kwiecie;
Śmiałbych się, gdybych doczekał tey pory:
Ba, nie! Naówczas — ieśli żyw na świecie —
Staruchem będę, ty maszkarą podłą.
Owoć goń zdrowo: gdyś mnie leda iaka,
Bądź lepsza innym, y miew to za godło:
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.

Przesłanie

Xiążę, ty kochasz: wraz bierze mnie trwoga,
Iż krzywem okiem spojrzysz na cherlaka:
Lecz zacna dusza powinna, prze Boga,
Nie dręczyć, ale wspomagać biedaka.



Pomnik Villona w Utrechie

PIOSNKA LUB RACZEJ RONDO

Śmierci, dayże mi odpocznienie;
Ty, coś wydarła mi mą miłą,
Ieszcze cię to nie nasyciło,
Ieszcześ na moie chciwa mdlenie?
Wnet dech twój z świata mnie wyżenie,
Lecz cóż ci życie iey wadzilo,
Śmierci?

W dwoygu nas iedno serce biło:
Gdy zmarło, trzebaż y mnie tchnienie
Wyprzeć, lub istnieć iak te cienie,
Które twe giezło[151] pobladziło,
Śmierci...

BALLADA Y MODLITWA

Ty, ócze Noe, coś sadził szczep winny,
Locie, coś popił tak zdrowo u skały,
Aże miłości chucie niepowinny
Cór własnych imać wręcz ci się kazały[174];
(Nie mówię, aby cię za to niesławić)
Architryklinie[175], głowo niezrównana,
Wszystkich trzech proszę, byście chcieli zbawić
Duszę dobrego mistrza Kotra Iana.

Z waszey familiey zrodzon duch ten bratni,
On, co rad piał najhydrogsze y przednie,
Chociaby grosz miał wyłożyć ostatni,
Kompan wytrwały, hej, w nocy czy we dnie;
Kubek do pasa przytraczał rzemykiem,
Zawždy napirwszy cisnął się do dzbana:
Szlachetne pany, uczciycie tym łykiem
Duszę dobrego mistrza Kotra Iana.

Częstom go widział, gdy, w spóźnionej dobie,
Snuł się iak staruch, co w nogach się chwieie;
Nieraz na czele guza nabił sobie
O próg, lub szynku zaparte[176] wierzeie;
Nie było pewnie y w naydalszym kraiu
Do wszelkiej bibki[177] lepszego kompana:
Wpuścież więc, skoro zapuka do Raiu,
Duszę dobrego mistrza Kotra Iana.

Przesłanie

Xiażę! Zaledwie chwilę przestał doić,
Wraz[178] krzyczał: «Raty, gardziel znów spēkana!»
Nigdy pragnienia nie mogła ukoić
Dusza dobrego mistrza Kotra Iana.

BALLADA, IAKĄ WILON UDAROWAŁ PEWNEGO ŚWIEŻO OŻENIONEGO SZLACHCICA, IBŻY POŚLAŁ IĄ SWEY MAŁŻONCE, KTÓRĄ ZDOBYŁ SOBIE MIECZEM

O świecie, kiedy głuszce na swym toku,
Wiedzione żądzą y cnym obyczaiem,
Skrzydłami pieszczą y, z radością w oku,
Parzą się chciwie y hołubią wzajem,
Dzielić chcę z tobą, pani moia miła,
To, co kochankom iest świętem wesołem;
Wiedz, że to Miłość te igry stworzyła,
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

Będziesz mi panią serdeczną, bez sporu,
Aż się nie spełni żywot nasz, zbyt krótki;
Naysłodszy laurem moiego honoru,
Różdżką oliwną, koiącą me smutki;
Rozum mi każe — y, w takiej potrzebie,
Nakazy iego przyimę iasnym czołem —
Bych nie ustawał w mych służbach dla ciebie:
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

Co więcej, kiedy boleść na mnie spadnie,
Z rąk losu, gdy ów na mnie się pogniewa,
Twe wdzięczne oko ią rozproszy snadnie,
Tak iako wiaer mglisty dym rozwiewa;
Takoż nie stracę ziarna, co go sieię
W twej roli, którą w pacht[207] od Boga wzięłem;
Wnet owoc luby z niey mi się zaśmieie:
Y oto, czemu iesteśmy tu społem.

Przesłanie

Xiężniczko, usłysz, coć rzekę w tey dobie:
Iż sercem całem w twej wierze spocząłem;
Tegoż nadzieiam się, pani, po tobie:
Y oto, czemu iesteśmy tu społem. (...)

BALLADA ZATYTUŁOWANA: PRZECIWRZECZENIA FRAN — GONTIROWE

Na miętym puchu *canonicus* gruby,
W kownacie ciepłej, dostatnio wysłaney.
Leął sobie obok Sydonii lubey,
Białey y gładkicy y wdzięcznicy przybraney.
Przy słodkim winie miłosną pogwarke
Wiodą, na przemian w łóżku y przy stole,
Wprzód obnażywszy ciałka należycie:
Iak was tu widzę, widziałem przez szparkę!
Wówczas poznałem, że na duszne bole
Nie masz nic w świecie nad wygodne życie.

Gdyby Fran-Gontir y iego druhini
Mieli do smaku onych darów Nieba,
Czosnku, cebuli, co szpetnym dech czyni,
Nie szukaliby, ni zgrzebnego chleba;
Ani by na myśl im nie przyszło może
Na gołej ziemi ligać wraz[219] pokotem:
Ieśli z rozkoszą dzielą serca bicie
Pod krzakiem róży, zaliż miętkie łoże
Nie lepsze? Iako? Możnaż wątpić o tem?
Nie masz nic w świecie nad wygodne życie.

Chleb iedzą suchy, gruby y owsiany,
Y piią wodę, ile dni iest w roku;
Ha! Wszystkie ptasząt śpiew zaczarowany,
Nie obstałby mi, przy takim wyroku,
Ni na dzień ieden, na ieden poranek.
Owo niech sobie, ze swoią Heleną,
Fran-Gontir igra — snadnie ich użrzycie
Pod dzikim głogiem — niesyty kochanek;
Ba, ia tam swoje będę prawil ieno:
Nie masz nic w świecie nad wygodne życie.

Przesłanie

Xiążę, ty rozsądz; od tegoś iest xięciem:
Ale, co do mnie, w lasce wybaczycie.
Lecz ieszcze młodem słyszałem dziecięciem,
Że nie masz w świecie nad wygodne życie.

BALLADA O NIEWIASTACH PARIZKICH

U kaźdey w świecie biały głowy
Bystrość ięzyka rzecz nierzadka,
Y nie brak im zazwyczaj mowy,
Tym zwłaszcza, co iuż idą w latka;
Wszelako z Rzymu, z Lombardyey,
Wiodą się, z dala czy też z blizka,
Z Piemontu, czy też z Wenecyey:
Nie masz gębusi iak parizka.

Mowności daią nam przykłady
Greczynki, Neapolitanki,
Dziób maią też nie od parady
Sabaudki, iak y Prusyaniki;
Węgierki takóž, Egipcjaniki
Z wyparzonego głośnie pyska,
Iszpanki czy też Kasztylaniki:
Nie masz gębusi iak parizka.

Zbierz wraz Gaskonki, Niemki, Włoszki,
Niech staną w turniey na wymowę:
Z Małego Mostu[221] dwie kumoszki

Wnetki pobiią ie na głowę;
Anielki, czy też Kalezianki
(Mogę to rzec bez pośmiewiska)
Pikardki abo Walencianki —
Nie masz gębusi iak parizka.

Przesłanie

Xiążę, parizkim damom snadnie
W ów ięzycznego czas igrzyska
Pierwszy iuż pono laur przypadnie:
Nie masz gębusi iak parizka.

BALLADA O WILONIE Y GRUBEJ MAŁGOŚCE

Ieśli ią kocham y służę z ochoty,
Zaliż kpem[229] przez to y pluchą się zdawam?
Ma ona w sobie, wierę, piękne cnoty,
Głośno iey miłość y służby wyznawam;
Niech przydą goście, wnet za dzban iuż chwytam,
Po wino pędzę, znoszę ser, owoce,
Podsuwam wodę, podpłomyki świeże,
Gdy dobrze płacą, żegnam rad y witam:
«Wróćcie, panowie, pędzić chutne noce,
W bordelu, kędy mamy zacne leże».

Ale, wnet potem, Panie Jezu Chryste,
Gdy w łoże Małgoś wróci bez szeląga,
Z wściekłości zbiera mnie szaleństwo czyste,
Chwytam za kiecki, sam chwytam się drąga,
Wołam, iż przechlam iey szmaty do nitki;
Aż ona na to — ha, ścierwo sobacze! —
Krzyczy, przeklina, pod boki się bierze,
Że ni tknąć nie da. Wóczas siniec brzydki
Na gębie pięścią sumiennie iey znaczę,
W bordelu, kędy mamy zacne leże.

Iuż zgoda. Małgoś pleszcze mnie po głowie,
P...dnie siarczyście, wzdęta iak ropucha,
Śmiejąc się, swoim picusiem nazowie,
Życzliwie nóżką przygarnie do brzucha;
Schlani oboie śpimy iak barany:
Zasię gdy rankiem burknie iey w żywocie,
Wyłazi na mnie na iutrne pacierze[230],
Aż ięknę pod nią, na poły złamany,
Y tak się bawim, pławiąc się w swym pocie,
W bordelu, kędy mamy zacne leże.

Przesłanie

Deszcz, grad, wichura, mam mój chleb powszedni;
Małgoška świnia, iam też świntuch przedni;
Kto lepszy z dwoyga? Pusty śmiech mnie bierze,

Iak płaszcz z poszewką, tak my — rzekę szczerze —
Plugastwu radzi, żyjem też plugawo,
Iak sława nami, tak my gardzim sławą,
W bordelu, kędy mamy zacne leże.

CLXIV

Item, chcę, aby na mym grobie
Tę, co tu podam, zwrotkę małą,
W dość znacznym kształcie y sposobie
Spisano; gdyby zaś nie stało
Inkaustu — węglem, czarną krydą,
Byleby trwale y wyraźnie:
Niech boday ci, co po mnie przydą,
Dowiedzą się o dobrym błaznie.

CLXV

*Tu legi, z Amora dloni srogiej,
Z sercem boleśnie skaleczonem,
Żaczyna lichy y ubogi,
Co był Franciszkiem zwan Wilonem;
Ziemi nie posiadł ni zagona,
Oddawał wszystko: chleb, koszyczek,
Stół: ano tedy, za Wilona,
Odmówcie Bogu ten wierszyczek:*

RONDO

Day Bóg spoczynek zasłużony,
Świąłość y pokóy wiekuisty,
Temu, co pluga ani brony
Nie posiadł, ni koszuli czystey;
Nagi, do skóry ogolony,

Na sposób rzepy obłuszczoney,
Day Bóg spoczynek zasłużony...

Srogim wyrokiem przepędzony[260],
Wbrew apelacji uroczystey,
W sam zadek celnie ugodzony,
Błąkał się, tułacz wiekuisty:
Day Bóg spoczynek zasłużony...

CLXVI

Dźwięk *Item*, chcę, aby mi dzwonił
W dzwon znaczny[261], co nawięzse grzebie;
Ha, komuż się nie wstrząśnie łono,
Gdy się w nim serce zakolebie;
Wiadomo, słać go nie trzeba,
Nieraz ten piękny kray obronił:
Naieżdzcę, czy też pieron z nieba,
Głos iego wszystko precz przegonił.

CLXXIII[262]

Trzeba by ieszcze ustanowić
Legatu cne ekekutory[263]:
Ba, coraz ciężey mi iuż mówić,
Nie żartem ponoś człek iest chory;
Brwi, rzęsy, włosy, wszystko boli,
Swędzi, od pięty do ciemienia:
Pilnieysza tedy zda się koley,
U wszytkich pytać przebaczenia.

BALLADA SŁUŻĄCA NA ZAKOŃCZENIE

Tutay zamyka się Testament,
Y ubogiego rzecz Wilona;
Przybądźcie wzniesić pogrzebny lament,
Gdy usłyszycie granie dzwona.
Miłości pomarł on ofiarą;
Odzিয়েcie tedy się szkarłatem:
Przysiął to na swą kuśkę[265] starą,
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Miłości pomarł męczennikiem,
Z sromotną niegdyś wyzeniony[266]
Hańbą, wygnany z kłatwą, z krzykiem,
Tak iż, het, het, w dalekie strony
Nie masz zarośli ani krzaka,
Których by łachów swoich szmatem
Nie przyozdobił... Dola taka!...
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Tyleż y zebrał w świecie plonu;
Na grzbiecie łachman ten ubogi,
Co więzsa, ieszcze w chwili zgonu
Miłości żgały go ostrogi



Ostrzejsze niżli kolec stalowy:
Ano, przed owym iurnym gnatem
Z szacunkiem trza pochylić głowy...
Kiedy rozstawał się z tym światem.

Przesłanie

Xiążę: tak rześki, iak ów młody
Kobuz, do końca wytrwał chwatem:
Ba, gulnął tęgi łyk, bez wody,
Kiedy rozstawał się z tym światem.

ROZPRAWA SERCA Y CIAŁA WILONOWEGO W KSZTAŁCIE BALLADY [280]

I

SerceKto się odzywa?
— Ia.
— Któż?
— Serce twoie,
Co ledwie trzyma się na nitce kruchey.
Iuż nie mam siły, tchu: dychnąć się boię,
Kiedy cię widzę, iak, spuściwszy słuchy,
Wszyleś się w kącik, na kształt biedney psiny.
— Coż mię tam pędzi?
— Twe szalone czyny.
— Y co ci o nie?
— Trawią mnie zgryzotą.
— Dayże mi pokój!
— Nie.
— Użrzesz y inne.
— Kiedy?
— Gdy miną mi lata dziecinne.
— Nic iuż nie mówię.
— Y nie stoię o to.

II

— Co ty zamierzasz?
— Zostać tęgim czlekiem.
— Masz lat trzydzieści.
— Y muł tyleż żyje.
— Czy to dziecięctwo?
— Nie.
— Dur tedy z wiekiem
Chwyta się ciebie?
— Którędy?
— Za szyię.
Nic nie rozumiem.
— Owszem: muchy w mleku,
Ot, białe, czarne, tak iest y w człowieku.
— To wszystko zatem?

— Y coż chcesz? Z ochota,
Jeśli nie dosyć, rozpocznę na nowo.
— Zgubiony iesteś.
— Trza nadrabiać głową.
— Nic iuż nie mówię.
— Y nie stoię o to.

III

— Mnie žal, a tobie boleść y cirpienie.
Gdybyś był głupkiem, gdyby pałką biedną,
Nalazłbyś dla się ieszcze wymówienie:
Piękne, czy szpetne, nie dbasz; to ci iedno.
Abo masz głowę twardszą niż kamienie,
Lub od czci wolisz karmić się sromotą!
Coż na te racye rzeczesz mi, lichota?
— Wszytko się skończy, gdy mnie ziemia schowa.
— Co za pociecha! Ha! Mądra wymowa!
Nic iuż nie mówię.
— Y nie stoię o to.

IV

— Skąd to nieszczęście?
— Taka, ot, ma dola.
Sam Saturn[281] taką losów moich postać
Snadź iuż nakazał.
— To szaleństwo. Hola!
Panem mu iesteś, a chcesz sługą zostać?
Patrz, w Salomońskim co pisaniu stoi:
«Człowiek roztropny (rzekł) ma w mocy swoiey
«Planety wszystkie y władą im cnotą».
— Nie wierzę; będe, czem los mi przeczaczy.
— Co mówisz?
— Milczę.
— Tak, zamilczmy raczey.
Nic iuż nie mówię.
— Y nie stoię o to.
Przesłanie
— Chcesz żyć?
— Od Boga czekam wspomżenia!
— Trzeba ci...
— Czego?
— Wyrzutów sumienia;
Czytać wciąż.
— Coże?
— Xięgi wiekuiste;
Ostaw szaleńców.
— Pewnie.
— Nie leż w błoto,
— Pomyślę nad tem.
— Pamiętay.
— Zaiste...
— Iżby nie przeszła chwila odpuszczenia.
Nic iuż nie mówię.
— Y nie stoię o to.

Przypisy

- [63] *krasawica* — piękność
- [64] *Archippa* — w istocie jest to zniekształcony przydomek Alcybiadesa, znanego z urody ucznia Sokratesa.
- [65] *Tais* — kurtyzana z czasów Aleksandra Wielkiego.
- [66] *Echo* — w mitologii gr. nimfa, która ukrywała przed Herą romanse Zeusa; za karę Hera ukarała ją w ten sposób, że odebrała jej możliwość mówienia własnymi słowami, przez co Echo musiała zacząć powtarzać cudze.
- [67] *kędy* (daw.) — gdzie.
- [68] *drzewiejszy* — dawniejszy, niegdyjszy.
- [69] Refren tej ballady: *Mais ou sont les neiges d'antan?* należy do najśłynniejszych wierszy w literaturze francuskiej [współczesne tłumaczenie brzmi raczej: Ach, gdzie są niegdyjsze śniegi — Red.WL]
- [70] *Helois* — Heloiza (ok. 1098–1164), zakonnica i erudytką, potajemnie poślubiona Abélardowi.
- [71] *Abeylart Piotr* — właśc. Pierre Abélard (1079–1142), filozof i teolog, wybitny nauczyciel, jeden z prekursorów scholastyki. Znany także z burzliwego romansu z Heloizą i potajemnego małżeństwa z nią.
- [72] *zmienion w kapłona* — wykastrowany (na rozkaz kanonika Fulberta, którego siostrzenicą była Heloiza).
- [73] *Podobnie, gdzie ta monarchini...* — królowa Nawarry, która, wedle legendy, topiła swoich kochanków [Małgorzata Burgundzka (1290–1315) przyłapaną na cudzołóstwie i uwięzioną, a następnie uduszona na rozkaz męża, Ludwika Kłótniwego.
- [74] *gach* — kochanek; według legendy wspomnianej w oryginalne chodziło tu o Jeana Buridana, filozofa scholastycznego (ok. 1300–po 1358), uratowanego ponoć przez ucznia.
- [75] *Blanka* — prawdopodobnie Blanka Kastylijska (1188–1252), córka Alfonsa VIII, króla Kastylii, żona Ludwika VIII Lwa.
- [76] *Berta* — legendarna matka Karola Wielkiego.
- [77] *Liia* — imię dodane przez tłumacza.
- [78] *Bietris* — Beatrycze z Prowansji (ok. 1234–1267), żona Karola I, króla Sycylii.
- [79] *Arambur* — XIII-wieczna dziedziczka francuskiego hrabstwa le Maine.
- [80] *Alys* — właśc. Adela z Szampanii, zwana też Alix (ok. 1140–1206), trzecia żona króla Ludwika VII.
- [81] *Iohanna* — Joanna D'Arc (1412–1431), święta, mistyczka, patronka Francji. Prowadziła wojska francuskie do walki przeciw Anglikom, skłaniając je do przyjęcia bardziej ofensywnej taktyki. Ostatecznie została wydana Anglikom, osądzona za herezję i spalona na stosie.
- [82] *Ballada o panach dawnego czasu, prowadząca daley ten sam przedmiot* — wszyscy wyliczeni tu monarchowie zmarli świeżo, za czasu Villona; w refrenie przeciwstawia im poeta wólplegendarną już postać Karola Wielkiego (Charlemagne).
- [83] *Kalikst III* — Alfons de Borja (1378–1458), papież od roku 1455.
- [84] *Alfons* — Alfons V zwany Wspaniałomyślnym (1396–1458), król Aragonii, a następnie również Neapolu.
- [85] *Szarlemań* — właśc. Karol Wielki, (ok. 742/747–814), sławny dzięki sukcesom militarnym i dyplomatycznym. Władca mocarstwa rozciągającego się na ziemiach dzisiejszych Niemiec, Francji, Austrii, zachodniej Hiszpanii i północnych Włoch. W r. 800 otrzymał od papieża tytuł cesarza rzymskiego.
- [86] *król Bohemii Lancelot* — nie było władcy czeskiego o tym imieniu.
- [87] *Ballada w teyże samey materyey* — ballada ta zatytułowana jest przez Villona: *Ballada w teyże materyi w starym języku francuskim*. Interesującym dokumentem dawności kultury piśmienniczej we Francji jest, że już w XV w. poeta czyni sobie artystyczną zabawę, aby naśladować stary język francuski z XIII w., co zresztą — jak mu to dzisiejsi erudyci dowodnie wykazali! — czyni w sposób dość powierzchny.
- [88] *alba* — od łac. *albus*, czyli biały, szata liturgiczna tego koloru, noszona pod ornatem.
- [89] *mitra* — tu: infuła.
- [90] *stola* — stuła.
- [91] *ninie* (daw.) — teraz.
- [92] *Wiieny* — właśc. Wienne.
- [93] *Delfin* — następcą tronu, zwł. francuskiego.
- [94] *Dyżonu* — właśc. Dijon.
- [95] *czyli* — czy z partykułą pytajną -li.
- [96] *trefność* — tu: żart.
- [97] *mdłość* (daw.) — słabość, tu: coś nieważnego.
- [98] *Żale piękney platnerki* — Owa *platnerka* była historyczną osobistością: niegdyś głośna piękność paryska, za czasu Villona już zgrzybiała staruszka, nasunęła mu widokiem swoim te strofy, jedne z najlepiej odlanych w całym jego dziele [*platnerz* — handlarz broni i rynsztunku wojennego; Red.WL].
- [99] *wraz* (daw.) — tu: zaraz.
- [100] *kosa* (daw.) — warkocz.
- [101] *rad* (daw.) — wesoły.
- [102] *oszedziały* (daw.) — posiwały.
- [103] *paździerze* — zdrewniałe części łądy lnu lub konopi.
- [104] *Y ty, szewczycho Wilhelmino...* — w owych czasach wiele kobiet lekkiego obyczaju uprawiało rzekomo rozmaite rzemiosła, pod których godłem

były znane, a które służyły im jako płaszczyk do bezpiecznego i tym zyskowniejszego praktykowania nierządu.

[145] *Iako Egipską rozgrzeszył Maryję* — św. Maria Egipcjanka (ok. 344–ok. 421), prostytutka, która pod wpływem pielgrzymki do grobu Chrystusa przemieniła się w mieszkającą na pustyni pokutnicę.

[146] *mędrca Teofila, Który przez Ciebie spełnił święte dzieła, Mimo iż djabłu zaprzedał swą wolę* — odniesienie do śrdw. legendy.

[147] *żywot* (daw.) — łono.

[151] *giezło* (daw.) — koszula.

[152] *Mistrzowi Rogatemu Ianowi...* — Jean le Cornu, bogaty mieszczanin i sekretarz królewski, który prawdopodobnie okazał się w potrzebie mało uczynnym dla poety. W ogrodzie, który mu ironicznie „zapisuje”, Villon, zdaje się, zmuszony był przepaść nieraz noc.

[153] *Saint-Amant* — urzędnik Skarbu; w oryg. legat ten zawiera aluzje do godeł sklepowych, jak *Biały koń* itd.; rodzaj żartu bardzo Villonowi ulubiony i powtarzany często.

[154] *real* - srebrna moneta hiszpańska lub portugalska.

[155] *Ragier* — znany opój; „*Wielki kubek*” — oberża pod tym godłem.

[156] „*pod Szyszką*” — *Pomme du Pin*, głośna oberża współczesna.

[157] *Item, co Marbof, abo zgoła/ Mikołaj Luwier, z tymi bieda* — aluzje do dwóch znanych mieszczan, nadających sobie szlacheckie tony.

[158] *traktiernia* — restauracja, zwł. podrzędna.

[159] *Turgis* — właściciel głośnej traktierni *Pomme du Pin*.

[160] *kornet* — słowo wieloznaczne: nakrycie głowy, instrument muzyczny podobny do trąbki, sztandar lub chorągiewka, szwadron kawalerii.

[161] *To iest, strażnicy, myślę, piesi...* — Villona obchodzili tylko strażnicy piesi, nie konni, ponieważ ci tylko odbywali ronty w mieście [*ront* — patrol; Red.WL].

[162] *CVI* — tu opuszczono kilka strof.

[163] *cepcule* — zakonnice a. uczennice szkoły zakonnej (Boy wykorzystuje tu przezwisko uczennic Szkoły Domowej Pracy generalowej Jadwigi Zamoykiej w Kuźnicach, pochodzące od wymawianego z góralska słowa „czepiec”).

[164] *Turlupini* — sekta, aktywna we Francji (w tym i w Paryżu) w XIV i XV wieku, afiszująca się ewangelicznym ubóstwem i podejrzewana o rozwiążność.

[165] *Mistrz Jan Pulieński* — Jan de Poulieu, doktor uniwersytetu, który zwalczał zakony żebrzą-

ce i później musiał odwołać swoje zarzuty. Za czasu Villona istniała bardzo silna opozycja świeckiego kleru przeciw groźnej konkurencji zakonów żebrzących.

[166] *Mistrz Jan Mehuński* — Jan de Meung, autor drugiej części *Romansu Róży* (1277).

[167] *dworować* (daw.) — żartować.

[168] *krzoska* (starop.) — żartobliwe określenie na męskie genitalia; w znaczeniu dosłownym: skałka w strzelbie, która po uderzeniu krzesiwem wytwarzała iskrę, by podpalić proch.

[169] *audytor* — sędzia przygotowujący materiał procesowy w sądzie kościelnym.

[170] *stolec* (daw.) — siedzisko.

[171] *Zasię Matyska z Orleanu...* — Macé d’Orléans był to sędzia prowincjonalny, którego Villon, prawdopodobnie dla jego gadulstwa i drobiazgowości, przechrzczył na kobietę. Kobiętom nierządnego życia nie wolno było, pod grzywną, nosić niektórych ozdób, np. pasków ze srebra.

[172] *mistrzowi Lorensowi...* — mistrz Lorenz, promotor, który prowadził śledztwo w sprawie kradzieży nawarskiej, przy tym tęgi bibuła [*bibula* — pijak].

[173] *mistrzowi Ianu Kotru...* — Jan Cotard, prokurator, również tęgi pijak, wówczas świeżo zmarły.

[174] *Locie, coś popił tak zdrowo u skały, Aże miłości chucie niepowinney Cór własnych imać wręcz ci się kazały* — wg przekazu biblijnego to córki upiły Lota, by nie wymarł jego ród.

[175] *architriclinus* (z gr.) — przewodnik uczyty, dyktujący tempo picia (łac. *magister bibendi*).

[176] *zaparty* (daw.) — zamknięty.

[177] *bibka* — pijatyka (z łac. *bibo, bibere* — pić).

[178] *wraz* (daw.) — zaraz.

[207] *w pacht* — w dzierzawę.

[219] *wraz* (daw.) — tu: razem.

[221] *Z Malego Mostu...* — murowany most na Sekwanie, cały zabudowany i będący najbardziej ożywionym punktem handlowym Paryża.

[222] *Makrob* — pisarz z V w., autor *Saturnalii*, w których ks. VII, p. 7, mieści się rozprawa o tym, dlaczego natura kobiet gorętsza jest niż mężczyzn: „*Quid plura? Nonne videmus mulieres, quando nimum frigus est, mediocri veste contentas, nec ita operimentis plurimis involutas, ut viri solent, scilicet naturali calore, contra frigus, quod aer ingerit, repugnante?* [Cóż więcej? Czyż nie widzieliście kobiet, które, chociaż jest zimno, zadowolają się skromną odzieżą, jak to czynią mężczyźni, jak gdyby zwalczały chłód, jaki przynosi powietrze, naturalnym ciepłem?

[223] *Monmartre* — wzgórze i wioska obok Paryża, włączone w jego granice administracyjne w XIX w,

[224] *Ten klasztor...* — klasztor żeński na Montmartre, znany ze swobody obyczajów i łatwego dostępu dla mężczyzn.

[225] *mgłość* — właśc. mdłość, tj. słabość.

[226] *zali* (daw.) — czy.

[227] *Brelar Bigod!* — przekleństwo w zepsutej niemieczyźnie: *Verloren, bey Gott!*

[228] *trafunek* (daw.) — przypadek.

[229] *kiep* — w dawnej polszczyźnie to słowo, oznaczające kobiece genitalia, było poważną obelgą. dytorski]

[230] *iutrzne pacierze* — pierwsza część tzw. *Liturgii godzin*, wymagająca odmówienia określonych modlitw o wschodzie słońca.

[260] *Srogim wyrokiem przepędzony...* — ten „srogi wyrok”, wydany „wbrew apelacji”, można odnieść do srogości damy serca Villona, którą już poprzednio czynił sprawczynią swojej tułaczki.

[261] *W dzwon znaczny...* — wielki dzwon na wieży kościoła *Notre-Dame*.

[262] *CLXVI* — tu tłumacz opuścił kilka strof.

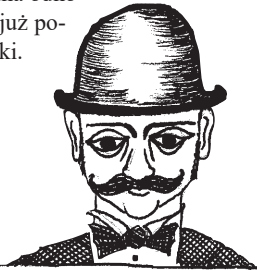
[263] *Legatu cne exekutory...* — egzekutorów [wykonawców; Red.WL] tych wyszczególnia Villon w kilku strofkach, które w przekładzie opuszczono.

[265] *kuśka* — starop. określenie na męskie genitalia.

[266] *wyżenąć* (daw.) — wygnać.

[280] *Rozprawa serca y ciała Wilonowego w kształcie ballady* — tego rodzaju „rozprawy” między ciałem a duszą istniały już i przedtem w literaturze średniowiecza.

[281] *Saturn* — starorzymski bóg czasu, później symbol melancholii.



SAWEG DOŁY?

POPŁATNOŚĆ

Austriacki neurolog i psychiatra Julius Weber von Jauregg, który w 1927 roku otrzymał Nagrodę Nobla, bardzo krytycznie odnosił się do psychoanalizy Freuda. Jego klasyczna definicja tej metody brzmiała:

– Psychoanaliza to metoda, za pomocą której jeden pacjent może utrzymać przy życiu swojego lekarza przez dwa lata...

Barykady

„Tygrys”, bo tak często zwano premiera George’a Clemenceau, miał za sobą radykalną przeszłość. Kiedy więc został premierem, zapytano go, jak obecnie zapatruje się na barykady?

– Ciągle jeszcze tak samo jak przedtem – odpowiedział – tylko teraz stanąlbym po przeciwnej stronie.

PIOTR AUGUSTYNEK

OJ, BĘDZIE CIĘŻKO

Na horyzoncie zamajaczyły zmiany programowe. Chodzi o edukację zdrowotną i o nauczanie religii w szkołach podstawowych.

Pani Minister Barbara Nowacka z wielkim zapałem i głębokim przekonaniem sygnalizuje nam założenia tych zmian. Im większy zapał i przekonanie Pani Minister, tym większa furia kręgów kościelnych i prawicy parlamentarnej, samorządowej – i nie tylko.

Reakcje te były łatwe do przewidzenia, a więc nie należy się przejmować, tylko owe zmiany wprowadzać, zatwierdzać i kierować do realizacji. Wystarczą odpowiednie procedury administracyjne.

Czyżby naprawdę? Czy będzie lekko, łatwo i przyjemnie? Czy podpis ministra na dokumentach programowych będzie miał wystarczającą siłę sprawczą? Wątpię. Dlaczego? Ano dlatego, że każdy system (edukacyjny w szczególności) składa się z ludzi. Każdy człowiek ma swoją osobowość, swoje poglądy. Polityczno-ideowe również. Nie wszyscy moi koledzy spędzający swe życie przy tablicy (a może przy komputerze) są przekonani do idei świeckości szkoły. Nie wszystkim się to podoba. Pomijam siłę argumentacji używanej przeciwko proponowanym zmianom.

Ilu nauczycieli nie zgadza się z proponowanymi zmianami? Tego chyba nie badano. Ilu nauczycielom świeckość szkoły kojarzy się z ateizacją, walką z wiarą przodków, w rezultacie z wynarodowieniem i niewolą wobec Unii, tych okropnych Niemców? Ilu nauczycieli myśli o edukacji zdrowotnej jako o działaniu mającym na celu moralne zepsucie młodych pokoleń poprzez seksualizację? Tego też nie wiemy. Naiwnością

jest wierzyć w to, że nauczycielska brać solidarnie poprze wyżej wspomniane reformy. Opowiadanie o tym, że nauczyciel jako funkcjonariusz państwowy karnie podporządkuje się nowościom programowym jest naiwnością.

Posłużę się tylko jednym przykładem, to znaczy rzeczywistością małych środowisk: wsi i miasteczek. W wielkim mieście belfer jest niejako anonimowy. Przychodzi do szkoły, odbywszy zajęcia, powraca do domu, staje się jedną z nikomu nieznanym postaci. Aż do następnego dnia. Ma poczucie, że „nic mu nie zrobią”.

A co ma powiedzieć nauczyciel, nawet wybitny (a takich nie brak), mieszkający w małej miejscowości od wielu pokoleń. Wrośnięty w tę ziemię, powiązany z większością współobywateli niemi pokrewieństwa, sąsiadujący przez płot, od zawsze określony i zidentyfikowany? Najczęściej jest tak, że w tak niewielkich społecznościach najważniejszymi wyróżnikami są budynek szkoły i kościół. Działalność tychże jest kluczowa dla miejscowej społeczności. Łączy, ale i potrafi niezłe podzielić.

Nowości programowe na niwie edukacji w takich małych społecznościach nie mogą zostać pominięte, szczególnie gdy chodzi o komentarze wygłaszane co niedzielę przez duchownych. Tu ambona jawi się częstokroć jako reduta polskości i prawdy, ostatni bastion walki z „onymi”. To przecież „oni” chcą zabrać wartości, wolność, zniewolić ducha itd. To znamy.

I teraz spróbujmy sobie wyobrazić dyrektora szkoły czy nauczyciela z pełną determinacją realizującego zmiany w podstawie programowej. W przeważającej większości mamy gotowy konflikt społeczny na

wielu płaszczyznach, mamy do czynienia ze strachem. Zwyczajnym lękiem, by „nie spaść z ambony”.

Moim zdaniem żadne urzędowe pohukiwania nie pomogą nauczycielowi, nie dadzą mu koniecznego wsparcia. A co w przypadku, gdy władze gminy (czyli organ prowadzący) nie zgadzają się z proponowanymi rozwiązaniami? Nie zgadzają się, bo bliżej im do obecnej opozycji niż do koalicji rządzącej.

Przecież wszystkiego i wszędzie nie da się pokryć siecią kontroli. Co wtedy wyjdzie z realizacji ambitnych planów ministerialnych? Zgłaszam moje wątpliwości,

bo prawie ćwierć wieku spędziłem w środowisku wiejskiej i małomiasteczkowej edukacji. Spotkałem tam wielu nowoczesnie myślących, wspaniałych ludzi, którzy mnie, nieopierzonego nauczyciela po studiach przekonywali, że jeszcze niewiele wiem. I nauczyli mnie wiele, za co im jestem wdzięczny. Czy teraz starczy im odwagi?

Czasy się zmieniają. I na gorsze i na lepsze (taką mam nadzieję). Dlatego z zainteresowaniem i życzliwością śledząc próby reform i koniecznych zmian, nie mogę się ustrzec westchnienia: OJ, BĘDZIE CIĘŻKO! □



Rajska wizja

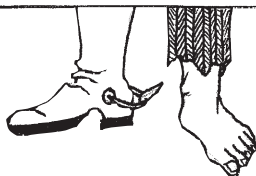
Znanego pisarza i filozofa oświecenia – Woltera – zapytała kiedyś pewna dama, dlaczego w raju nie ma małżeństw?

- Widzi pani – odpowiedział filozof – bo i w małżeństwach nie ma raju.

Relatywizm

Pisarz, kompozytor i aktor filmowy Gilbert Bécaud opowiadał w towarzystwie, że na ulicy zaczepił go dobrze już podchmielony mężczyzna, pytając o godzinę. Gdy usłyszał odpowiedź, złapał się za głowę:

- Chyba oszaleję! – krzyknął – Przez cały dzień ciągle pytam i za każdym razem słyszę inną odpowiedź!



RELIGIA W SZKOŁACH

Być może niniejszy tekst zostanie opublikowany po wprowadzeniu zmian do obecnego programu nauczania religii w szkołach publicznych. Nawet jeśli się to stanie, dyskusja się nie zakończy. Świadczą o tym wypowiedzi polityków i duchownych. Pan Kiepusza, wiceminister edukacji z PSL, a więc z koalicji 15 października, powiedział: „Naszym zdaniem powinny zostać dwie godziny lekcji religii finansowane z budżetu państwa, z tym zastrzeżeniem, że w tych środowiskach szkolnych, gdzie nie ma zapotrzebowania na drugą godzinę, to środowisko szkolne, dyrekcja, rodzice, czy uczniowie decydowaliby, co ma być na tej drugiej godzinie”.

Politycy prawicy otwarcie krytykują nawet takie wielce umiarkowane ograniczenie nauczania religii w szkołach. Kard. Nycz uważa, że religia powinna być (w wymiarze 1 godziny tygodniowo) „absolutnie obowiązkowa dla wszystkich uczniów, skoro żyjemy w cywilizacji europejskiej, która wyrosła z chrześcijaństwa”. Wielu duchownych uważa, że projekt lekcji religii jako pierwszych lub ostatnich jest niesprawiedliwy, ponieważ dyskryminuje ten przedmiot w porównaniu z innymi. Radykalna propozycja „antyreligijna” proponuje wyprowadzenie religii ze szkół (publicznych) i zaprzestanie finansowania jej z budżetu państwa. Wszystko to odbywa się w kontekście bardzo poważnego zmniejszenia się ilości uczniów uczestniczących w lekcjach religii.

Warto poczynić tutaj kilka uwag historycznych o nauczaniu religii w szko-

łach polskich po II wojnie światowej (nie wchodzę w rozmaite szczegóły, ponieważ nie są istotne; ograniczam się do edukacji katolickiej). Zaraz po 1945 r. religia była przedmiotem obowiązkowym dla wszystkich, przy czym faktycznie była to katecheza – tylko od katechety zależało, czy uczył o religiach, ale elementy religioznawstwa były rzadkie. Stopniowo zaczęły pojawiać się szkoły TPD (Towarzystwa Przyjaciół Dzieci), w których religii nie było. Od 1954 r. szkoła stała się świecką z wyjątkiem placówek prowadzonych przez instytucje kościelne, przede wszystkim zakonne. Edukacja religijna odbywała się w parafialnych punktach katechetycznych.

W 1956 r. pojawiła się próba przywrócenia religii w szkołach. W moim liceum w Krakowie stało się to w 1957 r. – byłem wtedy w 11 klasie (maturalnej). Przedmiot był nadobowiązkowy, ale, co ciekawe, przewidziano wolne na udział w rekolekcjach wielkanocnych. Początkowo chodzili prawie wszyscy uczniowie, ale po paru miesiącach pozostało niewiele z powodu nudy więcej z lekcji i nieumiejętności katechety ciekawego odpowiadania na pytania zadawane przez chłopców. Przepisy ustawy z 1961 r. ostatecznie sprawiły, że szkolnictwo publiczne stało się całkowicie świeckie.

Po 1989 r. premier T. Mazowiecki zdecydował, że religia ma wrócić do szkół i polecił ministrowi edukacji H. Samsonowiczowi zrealizowanie tego pomysłu. Wprowadzono następujące zasady. Religia (lub etyka, ale ten przedmiot jest wybierany przez rząd, także z powodu jego de-



precjonowania przez środowiska kościelne) jest przedmiotem nadobowiązkowym, nauczanie odbywa się na pierwszej lub ostatniej lekcji, katecheci uczą za darmo, nie ma stopnia z religii na świadectwie.

Po jakimś czasie prymas Glemp oświadczył, że skoro katecheci pracują jako nauczyciele to nie mogą tego robić za darmo. Władze zgodziły się na to, a potem sprawa została usankcjonowana przez konkordat, który dodatkowo nakazał uzgadnianie wszelkich zmian w nauczaniu religii z władzami kościelnymi. Stopniowo pojawiały się rozmaite inne uregulowania, np. to, że religia nie ma być na pierwszej lub ostatniej godzinie, ale „w środku”, że stopień z tego przedmiotu ma być odnotowany na świadectwie i wliczany do średniej, że można fakultatywnie zdawać maturę z religii.

Nie brakło konfliktów, np. o wieszanie krzyży na ścianach w klasach, praktyki religijne (głównie zbiorowe modlitwy) w budynkach szkolnych, czy dobrowolność deklaracji uczestnictwa w katechezie (choć wymaganie składania publicznych oświadczeń religijnych jest niezgodne

z Konstytucją RP). Taki jest stan prawny i faktyczny. Rozporządzenie z tego roku o nauczaniu religii zmienia zasady, ale jest też oprotestowywane, zarówno przez polityków (patrz stanowisko p. Kiepury) jak i Episkopat polski.

Znany pogląd głosi, że cywilizacja europejska została ufundowana na filozofii greckiej, prawie rzymskim i religii chrześcijańskiej. Nikt jednak nie wzywa do tego, aby w szkołach uczono dwóch pierwszych przedmiotów. Ktoś może zauważyć, że ostatnie zdanie jest demagogiczne, gdyż filozofia grecka i prawo rzymskie, to dziedziny specjalistyczne, natomiast religia ma charakter bardziej uniwersalny.

Prawda, ale to nie uzasadnia stanowiska kard. Nycza, który tak rzecz tłumaczy: „Nam w Polsce wydaje się, że jesteśmy nowatorami, prymusami w dyskusji europejskiej. Tymczasem rozmowy na temat miejsca religii w edukacji młodego pokolenia, które obecnie trwają w naszym kraju, przez Europę Zachodnią przetoczyły się 30-40 lat temu. 27 krajów Europy zrozumiało, że lekcje religii są czymś

koniecznym i potrzebnym w szkole. Nie da się zrozumieć europejskiej sztuki, muzyki, architektury bez znajomości chrześcijaństwa. Powinni uświadomić to sobie zarówno rządzący, jak rodzice oraz sama młodzież. Bez konkretnej wiedzy w tym zakresie trudno będzie młodym zrozumieć mechanizmy rządzące współczesnym światem, Europą czy Polską”.

Czy kard. Nycz postuluje wprowadzenie religioznawstwa, tak jak to jest w wielu krajach świata? Dotychczasowa praktyka uprawdopodobnia, że nawet jeśli ma na myśli historyczną wiedzę o chrześcijaństwie, to nauczyciele, wywodzący się z katolicyzmu, będą preferowali tę religie tak, jak to było dotychczas. Godzi się zauważyć, że od czasów Reformacji, polityczna i kulturowa rola protestantyzmu i prawosławia była co najmniej tak istotna (o ile nie bardziej), jak katolicyzmu.

Czyż nie lepiej odpowiednio zaprogramować lekcje historii, aby zrealizować postulat kard. Nycza? Skoro już wspominałem o źródłach cywilizacji europejskiej, to zauważę, że wprowadzenie propedeutyki filozofii do szkół średnich spotkało się z oporem księży katolickich. Tedy można wątpić, czy ich „ekumeniczne” deklaracje edukacyjne są realistyczne, nawet niezależnie od głoszonych intencji. To oczywiste, że uplasowanie lekcji religii na pierwszej lub ostatniej lekcji sprzyja temu, że uczniowie rezygnują z nich. Trudno jednak mówić o niesprawiedliwości w tym przypadku.

Póki co religia jest nieobowiązkowa (nic nie znamionuje zmiany tej zasady) i jej nauczanie musi się z tym liczyć. Plan lekcji z religią w środku wymaga od szkoły zapewnienia zajęć dla „areligijnych”. Bywa, że jest to niemożliwe i mają miejsce absurdalne przypadki siedzenia takich uczniów na katechezie, ale ty-

łem do nauczających. Trzeba jasno powiedzieć: – skoro domagacie się lekcji religii w szkołach, to waszym obowiązkiem jest sprawienie, aby uczniowie wybierali ten przedmiot. Skoro nie potraficie, nie próbujcie uzyskać efektu sposobami biurokratycznymi, bo to jest skrajnie niesprawiedliwe.

Wazeliniarstwo PSL, demonstrowane przez p. Kiepurę w stosunku do biskupów, jest irracjonalne, ponieważ dopóki hierarchowie będą stawiali na PiS, ludowcy nie są im na nic potrzebni, a inna perspektywa wyborcza jest na razie mało realna. Ta postawa jest zdradą tradycji polskiego ruchu ludowego, który zawsze zachowywał dystans do religii, chociaż nigdy nie był antyreligijny. Zdumiewa wiceminister edukacji postulujący, aby było, jak było.

Zastrzeżenie o braku „zapotrzebowania na drugą godzinę” nie ma większego znaczenia, ponieważ, jak pokazuje dotychczasowa praktyka, funkcjonariusze kościoła i ich świeccy akolici mają całą gamę środków, aby wywierać presję na dyrekcje, uczniów i rodziców dla zapewnienia „potrzeby” dwóch godzin z religii. Nawet jeśli faktyczna sekularyzacja szkół będzie postępować, to projekt p. Kiepury spowoduje masę konfliktów negatywnie wpływających na jakość edukacji. Ciekawe, że wiceminister edukacji nie dostrzega, że w przypadku „braku zapotrzebowania na drugą godzinę religii” mogłaby ona zostać przeznaczona na lekcje etyki. Jak widać, p. Kiepura ma przerost światopoglądowych gruczołów religijnych i wydzielina z nich płynąca degeneruje jego postrzeganie potrzeb edukacyjnych w polskiej szkole.

Fakt jest taki, że przy dwóch godzinach religii tygodniowo przez cały okres edukacji na poziomie podstawowym i śred-

nim (pomijam katechezę w przedszkolach) przedmiot ten ma więcej godzin niż jakkolwiek inny. Narzeka się na przeładunek programowy, brak czasu na należyte potraktowanie wielu kwestii z zakresu języka polskiego, historii, matematyki czy fizyki (i wielu innych dziedzin wiedzy), natomiast religia (praktycznie katecheza, by jeszcze raz to powtórzyć) ma czasu lekcyjnego pod dostatkiem w sytuacji, gdy te same tematy stale są poruszane i w ten sam sposób, rok po roku. Trudno oprzeć się wrażeniu, że chodzi o wychowanie człowieka w duchu określonej ideologii.

Trzeba też wskazać na możliwe (to także rzeczywistość) konflikty pomiędzy treściami nauczonymi przez katechetów a współczesną wiedzą naukową, np. w dziedzinie biologii. Wszelako, podobnie jak w innych przypadkach „nowego wspaniałego świata” (w sensie Orwella), poczynania w tym kierunku są mało skuteczne, aczkolwiek dużo kosztują nie tylko w dosłownym sensie finansowym, ale również marnotrawienia kapitału społecznego. To porażające, że wiceminister edukacji, urzędnik państwowy, nieźle opłacany z pieniędzy podatników, tego nie dostrzega.

W początkach transformacji ustrojowej lat 1989–1990 opinia, że naukę religii należy pozostawić poza szkołą nie była odosobniona, także wśród duchownych. Argumentowano, że sam fakt udania się na lekcję religii poza godzinami nauki szkolnej podnosi prestiż tego sposobu edukacji, a także wskazywano na sukces organizacyjny stworzenia sieci punktów katechetycznych. Stopniowo opinia środowisk kościelnych zaczęła się zmieniać, np. szermowano argumentem, że udanie się do punktu katechetycznego, zwłaszcza na wsi, jest niewygodne

dla uczniów, a nawet niebezpieczne, natomiast do szkoły i tak chodzą.

W końcu, jak już wyżej wspomniałem, władze podjęły decyzję o wprowadzeniu lekcji religii w ramach edukacji szkolnej. Motywacja T. Mazowieckiego była w dużej mierze moralna. Uważał, że Kościół zasłużył sobie na to swoją postawą, zwłaszcza poparciem dla „Solidarności”, a także był przekonany, że szkolna edukacja religijna jest cenna ze społecznego punktu widzenia. Czynniki kościelne podzielały to przekonanie, a nadto kierowały się tym, że walka o rząd dusz dla szczęścia wiecznego jest obowiązkiem duchownych, a to usprawiedliwia intensywne nauczanie religii.

Trudno jednak abstrahować od motywacji merkantylnych, które były już całkiem wyraźne w przytoczonym stanowisku kard. Glempa, a na dodatek zostało wyrażone z dużą dozą hipokryzji. Nie jest prawdą, że nie można pracować za darmo. Z drugiej strony, nie ma powodów, aby osoby uczące religii w szkołach nie miały statusu nauczycieli ze wszystkimi tego konsekwencjami płacowymi, emerytalnymi itp.; tym bardziej, że z biegiem czasu przybywało świeckich katechetek i katechetów.

Pojawiły się przy tym dodatkowe problemy, związane z tym, że obowiązki zawodowe nauczycieli/nauczycielek religii nie są jasno określone. Nie pałą się do spełniania typowych funkcji nauczycielskich, np. nie są wychowawcami / -czyniami/ klas, nie pełnią dyżurów na przerwach itp. Pozostają w podwójnej podległości, mianowicie i wobec dyrekcji szkoły i wobec kurii metropolitarnej; zarówno służbowej (obowiązek posiadania misji kanonicznej do nauczania religii) i programowej (treści nauczania religii są ustalane przez instytucje kościelne

i komunikowane szkołom). Zasady te nie sprzyjają koherencji edukacji szkolnej i powodują wspomniane wyżej konflikty pomiędzy religią a nauką.

Pojawił się też argument, że koszty utrzymywania parafialnych pomieszczeń służących nauczaniu religii są zbyt duże w związku z nowymi cenami energii, co sprawia, że trzeba będzie pobierać opłaty od rodziców (oczywiście wykluczano, że opłaty mają być ponoszone przez parafie), co może spowodować absencję uczniów pobierających naukę religii poza szkołą, a więc to czego czynniki kościelne obawiają się bodaj najbardziej, mianowicie ubytek dzieci i młodych ludzi podanych oddziaływaniu ideowemu (dla jasności: uważam, że jest to normalny cel każdej ideologii, również religijnej).

Kilku znajomych księży w prywatnych rozmowach (a więc bardziej szczerych niż oficjalne) wskazywało na inny problem merkantylny, mianowicie możliwość dochodowego wynajmowania sal katechetycznych na cele handlowe. Trudno powiedzieć, jak to wyglądało (wygląda) pod względem ilościowym, ale faktem jest, że tego rodzaju przypadki miały (mają) miejsce. To tłumaczyłoby nacisk, jaki czynniki kościelne kładą na to, aby lekcje religii miały miejsce w szkołach. Warto by sprawdzić, jaki był (jest) rozmiar tych praktyk. Nie od rzeczy jest tutaj zwrócenie uwagi na fakt, że powstanie wielu punktów katechetycznych było sfinansowane przez rodziców.

Z punktu widzenia laickiego, szkoła publiczna powinna być światopoglądowo neutralna. Podkreślam, że neutralna, nie ateistyczna. Powszechnym nieporozumieniem, zapewne celowo rozpowszechnianym przez środowiska prawicowo-klerykałne, jest zrównanie laickości z ateizmem. Szermuje się w tym względzie

art. 48.1. Konstytucji RP, stanowiącym: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania”.

Zasada ta jednak nie implikuje, że religia ma być nauczana w szkołach publicznych. Jeśli rodzice chcą, aby ich dzieci były wychowywane w duchu religijnym, mają wszelkie możliwości, aby posłać swe potomstwo do szkół prywatnych, gdzie nauczanie religii może odbywać się bez jakichkolwiek ograniczeń. Wiele wskazuje na to, że projekt laicki, z uwagi na aktualny stan prawny, jest trudny do realizacji z powodu art. 12.1. konkordatu z 1993 r.: „Uznając prawo rodziców do religijnego wychowania dzieci oraz zasadę tolerancji, Państwo gwarantuje, że szkoły publiczne podstawowe i ponadpodstawowe oraz przedszkola, prowadzone przez organy administracji państwowej i samorządowej, organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych i przedszkolnych”.

Niemniej jednak przepis ten nie przesądza wymiaru nauczania religii i tego, czy ma to być realizowane na pierwszej, ostatniej czy jakiejś środkowej lekcji. To mają prawo ustalać władze oświatowe, zgodnie z wolą zainteresowanych, a nie interesami i oczekiwaniami kościelnymi. Można dodać, że wszelkie regulacje tej kwestii powinny brać pod uwagę rzeczywiste zapotrzebowanie na publiczną edukację religijną, co jest zależne np. od stanu sekularyzacji społecznej. I to jest odpowiedź na zarzuty, że Kościół katolicki jest dyskryminowany przez zarządzenie, że ma być tylko jedna godzina religii tygodniowo na pierwszej lub ostatniej lekcji. □

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

LITERACCY PATRONI ROKU 2025 I ICH ZWIĄZKI ZE SZTUKĄ KRÓLEWSKĄ

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej na szesnastym posiedzeniu 24 lipca 2024 roku przyjął uchwałę o patronach roku 2025 – zostali nimi literaci: Stefan Żeromski (1864-1925) i Antoni Słonimski (1895-1976).

W 2025 roku przypada 100 rocznica śmierci Żeromskiego, jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy, duchowego autorytetu polskiej inteligencji przełomu XIX/XX w. autora opowiadań, powieści, dramatów i reportaży, które ukształtowały narodowe myślenie wielu pokoleń Polaków. W uzasadnieniu uchwały wskazano, iż „Stefan Żeromski był twórcą przekonany o doniosłej funkcji literatury, wierzył bowiem w szczególne posłannictwo pisarza i w jego odpowiedzialność za kształtowanie losu narodu i Ojczyzny”.

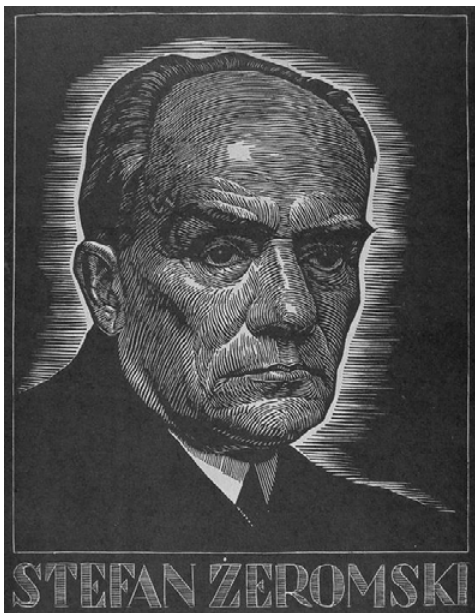
Rok 2025 to również 130 rocznica urodzin Słonimskiego poety, pisarza, świetnego felietonisty, krytyka literackiego i teatralnego, jak też tłumacza i publicyisty. Wyrażając uznanie dla jego artystycznego dorobku podkreślono w uchwale, że „był jednym ze współtwórców pierwszej w wolnej Polsce kawiarni literackiej „Pod Pikadorem”, a niedługo później – grupy poetyckiej „Skamander”. Był także współzałożycielem pierwszej w Polsce organizacji ochrony praw autorskich, znanej dziś jako Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych. W czasie II wojny światowej przebywał na emigracji; w latach 1948–1951 był dyrektorem Instytutu Kultury

Polskiej w Londynie, w latach 1956–1959 prezesem Związku Literatów Polskich, autorem i sygnatariuszem Listu 34 (1964) oraz sygnatariuszem Listu 59 (1975).

Za uchwałą dotyczącą Żeromskiego głosowało 443 posłów; za było 441, przeciw 1 (Konfederacja), wstrzymał się 1 (Konfederacja), nie głosowało 17; natomiast za uchwałą dotyczącą Słonimskiego głosowało 443; za było 425, przeciw 4 (Konfederacja), wstrzymało się 14 (Konfederacja), nie głosowało 17.

Zarówno Żeromski (pośrednio) jak i Słonimski (bezpośrednio) byli związani z wolnomularstwem.

Istotną rolę w życiu Żeromskiego, zarówno prywatnym jak i w twórczości, odegrał jego szwagier Rafał Radziwiłłowicz (1860-1929), lekarz psychiatra, jeden z czołowych polskich wolnomularzy i jeden z pierwszych Polaków w XX w., którzy zostali przyjęci do masonerii. W jego wypadku nastąpiło to w paryskiej Loży „Les Rénovateurs” w listopadzie 1909r. tam też w styczniu 1910 r. uzyskał stopień Mistrza. W czerwcu 1910 r. był on założycielem Loży „Wyzwolenie” w Warszawie, należącej do Wielkiego Wschodu Francji, jednej z pierwszych łóż na ziemiach polskich w XX w. (szerzej o odrodzeniu Sztuki Królewskiej na ziemiach polskich na początku XX w. pisałem w nr 88 FMW), a po odzyskaniu niepodległości piastował m.in. godność Wielkiego Mistrza Wielkiej Loży Narodowej Polski (1920-1922) oraz



członka Rady Najwyższej Polski, gdzie do końca życia piastował godność Mówcy.

Żeromski poznał Radziwiłłowicza około roku 1890 w Nałęczowie, gdzie tenże pracował w tamtejszym Zakładzie Lecznicy. Tam też poznał jego siostrę Oktawię Rodkiewicz (1862-1928). Oktawia była młodą wdową (jej pierwszy mąż Henryk Rodkiewicz (1837-1889) zmarł dwa lata po ich ślubie) z dzieckiem – córką Henryką (1889-1940). Oktawia pełniła wówczas funkcję administratorki Zakładu Lecznicy.

Żeromski był od Oktawii młodszy i uboższy. Kiedy się poznali, pracował jako nauczyciel szlacheckich dzieci. Związek ten nie odpowiadał jej matce i jej ojczymowi, którzy uważali, iż należy się jej lepsza partia niż biedny guwerner (zresztą oboje zbojkotowali ich ślub).

Jedynym z jej rodziny, który aprobował ten związek, był właśnie Rafał. On z wyrozumiałością potraktował uwagi o braku podstaw materialnych do ożenku. Gdy Żeromski listownie poinformował o projektowanym małżeństwie z Oktawią

– odpisał, iż jedynie od samego Stefana zależy, jak wysoko od „zera w hierarchii społecznej się podniesie”. Mimo tych problemów Stefan i Oktawia wzięli ślub kościelny w 1892 r., a ich świadkiem był Bolesław Prus, z którym Oktawia była zaprzyjaźniona. Zresztą cała trójka знаła się z Nałęczowa. W roku 1899 przyszedł na świat ich jedyny syn Adam (1899-1918), który stał się oczkiem w głowie i wielką miłością Stefana.

Mimo nawiązania romansu z poznaną w 1908 r. malarką Anną Zawadzką (1888-1983), z którą miał córkę Monikę (1913-2001), aż do śmierci syna utrzymywał kontakt z Oktawią. Skandal obyczajowy, sensację i plotki o bigamii pisarza wywołał np. pobyt w Zakopanem w 1914 r. w tym samym czasie: Żeromskiego, Oktawii z Adamem i Anny z Moniką. Co prawda, cała trójka mieszkała osobno, ale pisarz regularnie odwiedzał raz jedną, a raz drugą rodzinę.

Tu trzeba podkreślić, iż Oktawia była jedyną legalną żoną pisarza, bowiem Anna od 1913 roku używająca – niezgodnie z ówczesnym prawem – nazwiska Żeromska, formalnie takową nie była. Żeromski do swojej śmierci nie przeprowadził w jedynej wówczas prawnie uznanej formie kościelnego unieważnienia małżeństwa, czy – jak to ówczesnie było praktykowane – nie dokonał konwersji (zmiany wyznania). Jak pisze prof. Zdzisław Adamczyk (zmarły w sierpniu 2024 r. historyk literatury, autor kilku publikacji poświęconych twórczości Żeromskiego), na tydzień przed śmiercią pisarz zgłosił przystąpienie do gminy kalwińskiej; ale przypuszczać należy, że przyjęcie nastąpiło już po jego zgonie, a taki akt nasuwał wiele wątpliwości co do swojej legalności.

Chcących poznać bliżej postać Oktawii, która praktycznie dzisiaj jest całkowicie zapomniana i znana jedynie specjali-

stom od twórczości Żeromskiego, odsyłam do książki *Oktawia Żeromska – portret rodzinny*, autorstwa Marii Mironowicz-Panek (wieloletniej kustoszki Muzeum Stefana Żeromskiego w Nałęczowie), wydanej w Lublinie w 2018 roku.

Mitem jest powielana powszechnie w wielu biografiach pisarza informacja, iż zawarł w 1913 r. drugie małżeństwo z Anną. Mit ten, na użytek opinii publicznej, stworzyła sama Anna, a później powielala go w swoich książkach córka Moniki.

Zresztą sam pisarz tolerował posługiwanie się przez partnerkę swoim nazwiskiem i jak widać nie bardzo to mu przeszkadzało, czego np. dowodem może być otrzymane w czasie ich pobytu w Gdańsku zaświadczenie, wystawione dla „Stefana Żeromskiego, jego żony Anny i córki Moniki”. Ostatecznie to właśnie Annie i Monice pisarz w testamencie zapisał swój majątek, pomijając całkowicie w nim Oktawię, która odeszła całkowicie w cień, osiedliła się w Nałęczowie, tam zmarła i jest tam pochowana.

Bliski związek pisarza ze swoim szwagrem trwał praktycznie do nagłośnienia jego romansu z Anną. To właśnie Radziwiłłowiczowi zawdzięczał Żeromski w miarę szybkie przebicie się przez zaporę „niedrukowalności”. Jego starania, wsparte pozytywną opinią Prusa, sprawiły, że w 1895 doszło do wydania zbioru *Opowiadania* oraz noweli *Rozdziobią nas kruki, wrony*.

Pisarz był zafascynowany Radziwiłłowiczem, jego działalnością jako lekarza i społecznika. Dowód tego dał w swojej twórczości, głównie w powieści *Ludzie bezdomni*, wydanej w 1900 roku, w której *alter ego* Radziwiłłowicza jest jej bohater Tomasz Judym; w *Popiołach* rodzina Radziwiłłowicza dostrzegała cechy Rafała w postaci zarówno Rafała Olbromskiego,

jak i Krzysztofa Cedry; a w najgłośniejszej jego powieści *Przedwiośnie* (z 1924 r.), wielu krytyków w postaci Gajowca odnajduje jego cechy.

Mimo zerwania bezpośrednich kontaktów, obydwaj byli jednak w jakimś stopniu ze sobą związani w sferze duchowej. Żeromski do końca życia śledził dokonania Radziwiłłowicza i wydarzenia społeczne i polityczne, w których ten brał udział; a Radziwiłłowicz pozostał miłośnikiem twórczości Żeromskiego. Dał temu wyraz np. w ogłoszonym na dwa lata przed swoją śmiercią odczycie poświęconym twórczości pisarza.

W trakcie pobytu ich obu w Paryżu w 1909 r, kiedy Radziwiłłowicz został inicjowany do loży. Możliwe iż Żeromski taką propozycję również otrzymał. Przebywając w Paryżu mógł spotykać się z wolnomularzami, jak np. z Edwardem Abramowskim, socjologiem, socjalistą oraz teoretykiem kooperatywizmu, inicjowanym w jednej z łóż Zakonu Wszechświatowego Zjednoczenia Wolnomularskiego „Le Droit Humain” (w Paryżu lub w Brukseli) między 1908 r., a 1910 r.

Powieścią Żeromskiego, która odegrała istotną rolę w upowszechnieniu wolnomularstwa, były *Popioły*, które w czerwcu 1902 r. zaczęły ukazywać się w odcinkach na łamach warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego” a wydanie książkowe wyszło w roku 1904 w Warszawie w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa.

Najprawdopodobniej pisarz rozpoczął pracę nad powieścią, gdy był zatrudniony (1892-1896) na stanowisku zastępcy bibliotekarza w Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu, którą to posadę otrzymał zresztą z rekomendacji Bolesława Prusa. Zapewne skorzystał z okazji i przeprowadził kwerendę w znajdujących się tam materiałach historycznych. Nie-

wykluczone, iż mógł tam natrafić na jakieś informacje dotyczące polskiego wolnomularstwa.

Niejako zapowiedzią *Popiołów* było opowiadanie *O żołnierzu tulaczu*, wydane w 1896, jedyny zresztą utwór Żeromskiego dedykowany Radziwiłłowiczowi.

Ostatecznie do pisania powieści przystąpił latem 1898 r., już w kraju. Trudno powiedzieć, na ile i czy w ogóle wpływ na pisanie *Popiołów*, miała *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja, epopeja rozgrywająca się również w czasie wojen napoleońskich i również z wyraźnym wątkiem masonskim, której pierwsze polskie wydanie ukazało się w 1894 w Gródku, nakładem wydawnictwa Jana Czaińskiego.

Jest natomiast w miarę pewne, iż informacje dotyczące masonerii i jej rytuałów zaczerpnął z opracowania jezuita ks. Stanisława Załęskiego *O masonii w Polsce od 1742 do 1822*, wydanego w Krakowie w 1889 r., publikacji o charakterze antymasonskim, ale rzetelnej pod względem faktograficznym i zawierającej w załącznikach spisy członków łóż polskich i polskie teksty rytuałów.

Wykorzystując opracowanie Załęskiego, przytaczając prawie dosłownie całe ustępy dotyczące ceremoniału masonskiego, nie ustrzegł się jednak Żeromski wielu błędów, na które zwrócił już w 1928 roku uwagę Stanisław Małachowski-Łempicki, historyk i wolnomularz, w opublikowanym w nr 7 „Ruchu Literackiego” szkicu *Wolnomularstwo u Reymonta i Żeromskiego*.

Błędy i nieściśłości dotyczyły np. opisu stroju wolnomularskiego ks. Gintuła, który to miał nosić białą szarfę „z lewego ramienia na prawy”. Białą wstęgę atlasową i to z prawego ramienia na lewy bok, nosił tylko Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu; a Gintuł, jako jedynie urzędnik Łoży, nie mógł takowej

nosić. Inną nieściśłością jest stosowane przez Żeromskiego nazewnictwo, mianowicie Mistrza katedry (przewodniczącego łoży) nazywa „najprzewielebniejszym”, a winien nazwać „przewielebnym” bo „najprzewielebniejszy” odnosi się jedynie do godności członka kapituły wyższej. Błędem jest również opis fartuszka, który otrzymuje Olbromski. Otóż według Żeromskiego jest on haftowany i z jedwabiu, a winien być biały, zamszowy, gładki bez żadnych haftów, bo tylko taki otrzymuje profan w momencie otrzymania I stopnia wtajemniczenia, czyli ucznia. Błędna jest także nazwa tytułu rozdziału „Łoża profanek”. W wolnomularstwie nie istnieje taki twór. Profan, profanka, inaczej światowy, światowa – to osoba nie należąca do wolnomularstwa. Prawdłowo rozdział ten winien mieć tytuł „Łoża uczennicy”. W rozdziale tym czytamy, iż łoża, do której inicjowana została Helena de With, została afiliowana do męskiej. Jest to czysty wymysł Żeromskiego, bowiem łoża adopcyjne w czasach pruskiej okupacji (1795- 1807) nie istniały, odrodziły się dopiero w czasach Księstwa Warszawskiego.

Żeromski umieścił akcję przyjęcia Rafała Olbromskiego do łoży w tzw. Czerwonym Dworze. Gmach ten, zbudowany w połowie XVIII w. jest związany z historią warszawskiego wolnomularstwa. Tu miały siedzibę w różnych okresach m.in. takie łoża, jak np. „Pod Złotym Lichtarzem”, „Fryderyk Wilhelm pod Kolumną”, „Pod Samarytaninem”, czy „Prawdziwe Braterstwo”. Pisarz mógł o tym wiedzieć, choćby z dokumentów znajdujących się w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich, gdzie pracował po powrocie ze Szwajcarii. Można to również wywnioskować z użytej przez pisarza nazwy łoży rzeczywiście działającej w Warszawie w drugiej poło-

wie XVIII w., do której inicjowany został Olbromski, czyli „Zum goldnen Leuchter” – „Pod Złotym Lichtarzem”.

Tu można wspomnieć, iż w tym gmachu, obecnie siedzibie Państwowego Muzeum Etnograficznego przy ul. Kredytowej, miały miejsce dwie wystawy poświęcone masonerii. Od 13 lipca do 3 września 1995 r. ekspozycja *Tajemnice Masonów – rytuał i symbolika masonerii XVIII-XX w.* (przeniesiona z Muzeum Okręgowego w Tarnowie, gdzie była prezentowana od grudnia 1994 do marca 1995 r. była to pierwsza w Polsce po II wojnie tematyczna wystawa muzealna poświęcona wolnomularstwu), a od 29 czerwca do 29 lipca 2012 r. *Legenda Mistrza Hiram. Obraz farmazona w kulturze ludowej i nie tylko...*

Również z pracy Załęskiego wykorzystał Żeromski zawołanie masońskie „Do mnie dzieci wdowy”, użyte przez księcia Gintułta w czasie bitwy pod Sandomierzem, gdzie księżę czynił rozpaczliwe starania, by polska artyleria nie zburzyła zażytkowego kościoła, w którym znajdował się połowy lazaret. Mocno za to zrugany przez generała Sokolnickiego, ranny księżę wydał ten okrzyk, na który odpowiedział Olbromski udzielając mu pomocy. Zawołanie to jest okrzykiem wolnomularskim przyzywającym braci na pomoc. Można je wytłumaczyć jako „bracia ratujcie mnie”. Zawołaniu temu często towarzyszy gest skrzyżowania ponad głową wzniesionych do góry rąk.

Samo określenie „Dzieci wdowy”, jak siebie nazywają wolnomularze, ma swoją genezę w starożytności. Wywodzi się ono od fenickiego mistrza Hiram (syna wdowy), budowniczego świątyni Salomona. Można się również doszukiwać jej genezy od czasów nowożytnych – od jakobitów (zwolenników i stronników Jamesa Francisa Edwarda Stuarta, syna króla Jakuba II i kojarzcy z kolejnymi Stuartami, preten-

dentami do tronu Anglii i Szkocji, którzy ścięli króla Karola I przez Cromwella porównywali do zabójstwa Hiram, a siebie uważali za dzieci Henrietty Marii z Burbonów, wdowy po Karolu I).

Pewne odniesienia do wolnomularstwa, jak też i do gnostycyzmu, można także odnaleźć w nieco mniej znanym cyklu autora *Popiołów*, a mianowicie *Walce z szatanem* (I część *Nawracanie Judasza*, 1916 r., II cz. *Zamięć*, 1916 r., III cz. *Charitas*, 1919 r.), w którym to jej bohater Ryszard Nienaski podejmuje samotną walkę o sprawiedliwy świat.

Zresztą problem walki o sprawiedliwy świat i szukanie odpowiedzi na pytanie, czy jest to możliwe i czy samotna osoba, która traktuje jako najważniejszy obowiązek służbę patriotyczno-społeczną, może znaleźć sprzymierzeńców, czy też musi nieodwołalnie ponieść klęskę, można odnaleźć zarówno w tym cyklu, jak i we wspomnianych *Ludziach bezdomnych*, *Popiołach*, *Przedwiośniu* czy *Urodzie życia* z 1912.

Żeromski zmarł 20 listopada 1925 r. Choć od dawna chorował, to jego śmierć była wielkim szokiem dla opinii publicznej. Dzień wcześniej przyjmował gości i nic nie zapowiadało tak fatalnego finału. Odwiedzili go wówczas Julian Tuwim i Antoni Słonimski. 23 listopada odbył się jego pogrzeb, który przysporzył kilka problemów związanych z prawdopodobną konwersją pisarza na kalwinizm. Było to zaskoczenie dla władz i skomplikowało przygotowanie uroczystości. Ostatecznie ich przebieg był o wiele skromniejszy niż pierwotnie zakładano. Rozpoczęły się na dziedzińcu Zamku Królewskiego (w jednym ze skrzydeł Zamku pisarz mieszkał, wraz z Anną i Moniką, w ostatnich latach swojego życia); uczestniczyli w nich przedstawiciele władz. Prezydent Wojciechowski doprowadził trumnę tylko do bra-

my zamkowej, a część parlamentarzystów i korpus dyplomatyczny opuścili kondukt przy pl. Bankowym. Duchowieństwo katolickie w ogóle nie wzięło udziału w uroczystości.

Na trasie konduktu, który aż trzy godziny szedł na cmentarz przy ul. Młynarskiej, i w którym uczestniczyły tłumy warszawiaków, wiele się działo. Z okien Teatru Wielkiego orkiestra Opery Warszawskiej pod batutą Feliksa Młynarskiego grała *Marsz żałobny* Fryderyka Chopina, a nad tłumem warszawiaków, którzy z tej okazji mieli skrócony dzień pracy, latał samolot zrzucający pożegnalne ulotki o treści: „Hołd nieśmiertelnej pamięci Stefana Żeromskiego składa Liga Obrony Powietrznej Państwa”.

Nie mamy pewności, czy wśród uczestników konduktu – oprócz rodziny i przedstawicieli świata literackiego – szli wolnomularze. Możemy jedynie przypuszczać, iż zapewne jacyś przedstawiciele Wielkiej Loży Narodowej Polski, czy loż wchodzących w jej skład, uczestniczyli w ostatniej drodze pisarza, już wówczas nazywanego „budzicielem narodu”, „sumieniem polskiej literatury”, czy „pierwszym sercem w ojczyźnie”.

Dwa lata później, 20 listopada 1927 r., zwłoki pisarza zostały przeniesione na cmentarz ewangelicko-reformowany (tj. kalwiński) przy ulicy Żytniej w Warszawie, gdzie spoczywają do dnia dzisiejszego.

Diametralnie inne związki ze Sztuką Królewską miał Antoni Słonimski, który w wieku 77 lat stał się aktywnym wolnomularzem, członkiem warszawskiej Loży „Kopernik”. Został do niej przyjęty w grudniu 1972 r., a w kwietniu 1975 r. nadano mu stopień mistrza. Przypomnę, bo



Antoni Słonimski

szerzej o tym pisałem w nr 91 i 92 FMW, iż powołana ona została w ścisłej konspiracji przez wolnomularzy z przedwojennym stażem, w Warszawie w lutym 1961 roku.

Dla wielu znajomych i przyjaciół Słonimskiego to, że był masonem, było wielkim zaskoczeniem. Nie przypuszczali, iż ten prześmiewca i ironista może być wolnomularzem, bo to do niego całkowicie nie pasowało.

Do takich osób należeli też między innymi Adam Michnik, jego sekretarz, czy prof. Alina Kowalczykowa, która po śmierci żony poety Janiny opiekowała się nim.

Tu wypada wspomnieć, iż niestety to właśnie Kowalczykowa przyczyniła się do śmierci poety, gdy wioząc Słonimskiego swoim samochodem wyjechała z drogi podporządkowanej, czym spowodowała wypadek, w wyniku którego na skutek odniesionych ran poeta zmarł.

O tym że był członkiem Loży, niektórzy ze znajomych dowiedzieli się z nekrologu opublikowanego w jednym z francuskich periodyków, gdzie poinformowano, iż masoni żegnają „Brata szczególnie zasłużonego dla wolnomularstwa polskiego”.

Po Jego śmierci polska cenzura otrzymała dyrektywę dotyczącą limitu i treści nekrologów, w których z oczywistych względów nie była możliwa wszelka, nawet najmniejsza wzmianka o jego przynależności do Loży.

Najprawdopodobniej Słonimski otrzymał propozycję wstąpienia do wolnomularstwa od Jana Józefa Lipskiego, ówczesnego jej przewodniczącego, choć mógł to też być np. Jan Olszewski, wówczas jej II dozorca. Obu ich znał (jak też innego członka Loży Aleksandra Małachowskiego) z Klubu Krzywego Koła. Sam do Klubu nie należał, ale bywał na jego spotkaniach i sympatyzował z Klubem.

Ze wspomnień jego bliskich znajomych wiemy, iż pisarz regularnie jeździł co kilka tygodni (najczęściej w czwartki) na ul. Lekarską na Ochotę, bo tam właśnie, w domu rodzinnym Tadeusza Gliwica, miała swoją siedzibę Loża.

Tu ciekawostka, bo w zachowanych dokumentach SB znajduje się notatka – zapis rozmowy telefonicznej, gdy najpierw pisarz zamawia taksówkę na Lekarską, a po powrocie tajemniczo mówi do znajomej, Anny Trzeciakowskiej, iż był na mieście na „małym spotkaniu”.

Nie sposób w twórczości Słonimskiego, szczególnie po jego wstąpieniu do Loży, odnaleźć jakieś odniesień masonskich, raczej takich nie było.

Jednak istnieje taki wiersz Słonimskiego, który poświęcony jest wolnomularzowi. Chodzi tu o wiersz zaczynający się od słów „Na pluszowej kanapce, wśród ciekawych tłoku”. W późniejszych edycjach zo-

stał on zatytułowany „Na śmierć prezydenta Narutowicza”.

Utwór ten Słonimski napisał jeszcze w nocy z 20 na 21 grudnia 1922 r., gdy doszła do niego informacja o zabójstwie Prezydenta. Pisząc go oczywiście nie miał pojęcia, że Narutowicz był masonem, ani tym bardziej, że pół wieku później sam nim zostanie.

Odnosi wtedy pierwszy duży sukces zawodowy. Redaktor naczelny „Kurierra Polskiego” Ignacy Rosner w ostatniej chwili zdejmując z czołówki swój artykuł, aby w to miejsce dać wiersz młodego poety. „Kurier” z utworem Słonimskiego na I stronie ukazuje się 22 grudnia 1922 roku.

Jako że wiersz ten jest mniej znany od np. utworu Tuwima, poświęconego temu samemu tragicznemu wydarzeniu, zacytuje go w całości ze zbioru utworów Słonimskiego pt. *138 wierszy*, wydanego przez PIW w 1984:

Na pluszowej kanapce, wśród ciekawych
tłoku,
Jakże długo umierać trzeba od krwotoku.
Jest czasu aż za wiele, by dreszczem
odraży
Wstrząsnęły rzeźby zimne i wielkie
obrazy
W ramach złotych spiętrzone, nieruchome
twarze,
Zachody, wschody słońca, zamglone
pejzaże.
Cisza w polu, wiatr białych nie rozgania
chmurek –
Boli – proszę powoli odpinać tużurek...
Czy to pachną perfumy, czy święte
kadzidła?
Ktoś mówi szeptem, biegnie; schodzi
z malowidła,
Czarny krzak tui obok zakurzonej palmy
.Czemu jest taka cisza? Gdzie żałobne
psalmy?

Nie płacz – widzisz, już lepiej – widzisz,
że mniej krwawi.
Może to tylko rana – jutro się poprawi...
Z białej sali szpitalnej w poranek zimowy
Wyjdę o własnej sile szczęśliwy i zdrowy:
Na pewno wtedy, zamiast gwizdania
ulicy,
Usłyszę jeden okrzyk radosnej stolicy.
Jak pięknie będzie jechać przez miasto
powozem...
- Okryjcie mnie futrami, lęk mnie przejął
mrozem,
Dzwoni głucho dzwon złoty, omdlały
ramiona.
Czy to z rąk Salomei wypadła korona?
Pachną święte oleje, jak wonne olejki,
Czy gniewny Witold z mieczem zszedł
z Sali Matejki?
Ktoś idzie ku mnie, krzyczy – widzę, jak
tu mierza:
To żołnierz – szofer wściekle pięścią
w drzwi uderza.
Wpuście go do mnie tutaj: wśród pań
z ambasady
Niech się schyli nade mną i od gniewu
blady
Niech on oczy mi zamknie. Niech się
dotknie powiek
Ręką szorstką zwyczajny, dobry człowiek.

Jak już wspomniałem, Antoni Słonimski zmarł na skutek ran odniesionych w wypadku samochodowym, który miał miejsce 4 lipca 1976 r. Cztery dni później, 8 lipca, na cmentarzu w Laskach odbył się pogrzeb poety (*nota bene* obfotografowany przez SB). Wśród uczestników ceremonii pogrzebowej byli na pewno jego Bracia z Łoży, jak również można przypuszczać, iż zgodnie z wolnomularskim zwyczajem odbyła się tzw. „Łoża żałobna”, która ma zawsze miejsce gdy jej członek umiera, czyli przechodzi na „Wieczny Wschód”.

Podsumowując, Żeromski przyczynił się do popularyzacji wolnomularstwa i przypomnienia o roli, jaką ono odegrało w dziejach Polski na przełomie XVIII/XIX w., głównie dzięki *Popiołom*. Dłatego też do dnia dzisiejszego w polskim środowisku masońskim jest ceniony, szanowany i traktowany jako przyjaciel Sztuki Królewskiej, którego można, za rolę jaką odegrał jako „sumienie narodu”, nazywać „masonem bez fartuszka”. Natomiast Antoni Słonimski, jako czynny wolnomularz jest zaliczany do tych polskich masonów, którzy odegrali istotną rolę w polskiej masonerii: jako ten który był jej członkiem w jej pionierskich, konspiracyjnych czasach, gdy powoli odradzało się w Polsce wolnomularstwo po II wojnie. □

Wykorzystano: Zdzisław Adamczyk, *Manipulacje i tajemnice. Zagadki późnej biografii Żeromskiego*, Warszawa 2017; Bożena Mirosława Dołęgowska-Wysocka, *Do mnie dzieci wdowy. Wolnomularstwo na Kielecczyźnie od XVIII do XXI w.*, Lydney 2023; Wojciech Gutowski, *Tropy gnostyczne w twórczości Stefana Żeromskiego*, w: Żeromski. Tradycja i eksperyment, Białystok-Rapperswil 2013; Ludwik Hass, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999; Sławomir Koper, *Sekretne życie autorów lektur szkolnych. Nie tacy święci jak ich malują*, Warszawa 2020; Joanna Kuciel-Frydryszak, *Słonimski. Heretyk na ambonie*, wyd. I Warszawa, WAB 2012, wydanie II poprawione, Warszawa, Marginesy 2024 (edycja w związku z rokiem Słonimskiego); Tadeusz Nasierowski, *Żeromski, Strug, Dąbrowska a psychiatrzy wolnomularze*, Warszawa 1997; *Wspomnienia o Antonim Słonimskim*, red. Paweł Kądziela, Artur Międzyrzecki, Warszawa 1996 (Biblioteka Więzi); Stanisław Małachowski-Łempicki, *Wolnomularstwo u Reymonta i Żeromskiego*, „Ruch Literacki” 1928 nr 7.

Z wywiadu Ewy Kalety z prof. Janem Hartmanem

(na portalu wyborcza.pl:)

Czy był pan ofiarą kościelnej pedofilii? Wydaje się pan być jakoś osobiście uwikłany, zarówno temat pedofilii i Kościoła wraca cyklicznie.

- Z całym podziwem dla własnej urody jako dziecka, nie. Gdybym był, to dawno już bym zrobił coming out. Mój gniew moralny na chrześcijaństwo, a szczególnie na Kościół katolicki nie ma żadnych osobistych podstaw. Ba, korzystałem nawet z usług Kościoła, bo skończyłem studia na KUL. Tak że moja walka z Kościołem jest bezinteresowna i nieosobista.

A na co pan jest tak rozgniewany?

- To przewrotne pytanie, bo ono zakłada, że są jakieś pozytywne rzeczy w Kościele. Nie, Kościół to jest samo zło. To jest test moralnej wrażliwości, czy odczuwa się ten gniew moralny, czy nie, więc odrzucam to pytanie. Kościół w stosunku do państwa polskiego jest organizacją obcą, pasożytniczą. Jest obcym państwem, wobec którego Polska ani przez jeden dzień nie była niepodległa. Jednakże jutrzienka wolności kiedyś zaświta.

Bardzo ma pan radykalną opinię.

- Nie. Na Zachodzie są to rzeczy oczywiste, mają to od stuleci przepracowane, rozumieją, że Kościół to obce państwo. Tożsamość zachodniej Europy jest ukształtowana na fundamencie emancypacji od Kościoła, podczas gdy nasza

tożsamość narodowa dopiero się kształtuje i Polacy nie zapragnęli jeszcze suwerenności w stosunku do Watykanu.

Są ludzie wierzący i oni chcą być zależni od Kościoła. Niezależność nie zawsze jest najwyższą wartością.

- To prawda, są ludzie i jest ich bardzo dużo w Polsce, którym nie zależy na suwerenności i niepodległości Polski. W XIX w. sprawa niezależności od caratu też była dla większości egzotyczna. A mimo to polskie państwo narodowe powstało. O wolność walczy zawsze tylko mniejszość. Przed nami jeszcze długa droga. Polacy nawet nie wiedzą, że nasza konstytucja zawiera nakaz złożenia hołdu tzw. Stolicy Apostolskiej w formie konkordatu.

A pan odróżnia instytucje od samej wiary? To, że pan nie ma łaski wiary...

- Jeśli chodzi o Boga, to wierzący w niego zobowiązani są należeć do któregoś z Kościołów i łączyć na niego. Nie ma tu żadnej dowolności. A inna rzecz, że niektórzy nie będący chrześcijanami, a wierzący w istnienie takiego czy innego Wielkiego Ducha, który stworzył i kontroluje świat, z braku lepszego słowa nazywają go tak, jak nazywa się bóstwo chrześcijan, czyli Bóg. Prowadzi to do wygodnej dla Kościoła iluzji, że jest jakiś wspólny świat „ludzi wierzących w Boga”, różniących się jedynie sposobem oddawania mu czci.

To bzdura. Nie ma żadnej wspólnoty wierzących w Zeusa, Boga, Atona i tak dalej. Wyznawcy takich wyobrażonych istot raczej się nie lubią i sobą pogardzają. Bynajmniej też nie uważają, aby dana im była jakaś wspólna „łaska wiary”. Na wieść, że ktoś wierzy w Zeusa, wyznawca Boga puka się w czoło.

A rzekomy wspólny wróg wszystkich wierzących wszech wyznań, czyli ateista, jest wrogiem fikcyjnym. Wyznawcy Allaha jest zupełnie obojętne, czym się różni ateista od innego niewierzącego w to, że Allah jest jedynym bóstwem, a Mahomet jego prorokiem. Tak samo ateście jest wszystko jedno, czy ktoś mu wmawia, że Jezus zstąpił do piekieł, czy że Mahomet na Buraku poleciał do nieba.

Co zaś do terminu „łaska wiary”, to on w teologii katolickiej odnosi się wyłącznie do wiary chrześcijańskiej. Bóg pozwolił niektórym uwierzyć w siebie i ci mają szansę dostać się do królestwa niebieskiego. Reszta zaś niechaj nie liczy na korzystny dla siebie wyrok.

Panie profesorze, właśnie ukazała się pańska nowa książka „Zmierzch filozofii”. Czy ma pan też na myśli swój zmierzch?

- Nie, ja jeszcze dociągnę do emerytury. Zazdroszczę temu, kto zgasi światło, ale to jeszcze nie będę ja. Ale to ważna książka i z pewnością przejdzie niezauważona, podobnie jak poprzednie moje książki filozoficzne.

Pan czuje się przegrany.

- Nie, wręcz przeciwnie. W młodości odznaczałem się zawyżonym mniemaniem o sobie i oczywiście cierpiałem, zderzając się z rzeczywistością, lecz dziś jestem uleczony z tej choroby i cieszę się tym, co mam. Jestem dumny ze swoich

dokonań, ze swoich ponad dwudziestu książek, z tysięcy publicystycznych artykułów, a przede wszystkim jestem zadowolony ze swojej roli publicznej. Czego chceć więcej? Mam grubo ponad sto tysięcy regularnych czytelników, którym jestem wdzięczny. Dla nich codziennie piszę. Ale wiem, dlaczego pani o to pyta – mam przecież opinię kabotyńską, aroganta i frustrata. Złą opinię.

O coś pan walczy usilnie, ale nie do końca wiem, o co.

- Jeżeli można podporządkować moją działalność publiczną jednej idei, to jest to zwalczanie chrześcijaństwa i Kościoła katolickiego. Jestem tu w awangardzie i jestem z tego dumny. Powiedzmy, że jest to moja postawa patriotyczna. Chciałbym, żeby Polacy stali się suwerennym i wolnym narodem, jak Francuzi, Anglicy czy choćby Czesi.

Duże słowa.

- Och, to w gazecie będzie dobrze wyglądać.

Pan uważa, że księża powinni wrócić do swojej ojczyzny, którą jest Watykan?

- Watykan nie przyjmuje uchodźców, nawet w sutannach. Gorzej z biskupami. Oni przysięgają na wierność obcemu monarsze, papieżowi. A potem (zresztą łamiąc w ten sposób konkordat) śmiało pouczają państwo polskie i domagają się zmian prawnych zgodnych z doktryną kościelną, pod pretekstem, że są czymś oczywistym, czyli „naturalnym”. To prymitywna zagrywka: prawo naturalne to ściśle religijny termin, oznaczający tzw. prawo Boże. Temu beczelnemu rozpanoszeniu trzeba położyć kres.

Może pana krytyka przynosi odwrotny skutek i tylko utwierdza niektórych w przywiązaniu do Kościoła? Może lepiej byłoby przyjrzeć się motywacjom wierzących? Dlaczego wierzą i praktykują?

- Jeśli krytyka jakiejś grupy wyznawców i ich przekonań, zwłaszcza na temat własnej wyjątkowości, jest sprawiedliwa i słuszna, to niezależnie od tego, jak wielu ludzi będzie reagować na nią poczuciem urazy bądź pretensjami, że się ich obraża, można liczyć, że odniesie jakiś skutek, to znaczy przyczyni się do zmniejszenia liczby wyznawców. Osobiście jestem pewien, że swoją pracą przyczyniłem się do odejścia tysięcy ludzi z Kościoła katolickiego. A już na pewno żadnej przeciwności nie obserwuję. Nikt mi jeszcze nie wyznał, że uwierzył głębiej, gdy spotkał się z moją krytyką chrześcijaństwa.

Polska urodziła się z tasiemcem w brzuchu albo z wadą genetyczną, jaką jest chrześcijaństwo. Prości ludzie ulegają kościelnemu szantażowi moralnemu, lękowi przed potępieniem i wizji nieba dla wiernych. Całej katolickiej mitologii i ideologii. Paraliżuje ich i fascynuje pycha ludzi mówiących, że są „świętym Kościołem” i mają specjalne stosunki z szefem wszechświata. Pranie mózgu i ogłupianie trwa od maleńkości do śmierci. Więc klęczą i płacą. I to w dodatku klęczą przed człowiekiem, oddając mu boską cześć! Horrendum. A mogliby mieć takie głębokie i etyczne życie duchowe! Prosty ludzi trzeba traktować poważnie, a więc również krytykować ich i stawiać im wymagania. Tchórzliwa lewica tego nie rozumie, przymilając się do klas niższych. To przejaw protekcjonalizmu i oportunistycznego jednoczesnie.

A pan nie jest prostym człowiekiem?

- Przyszła pani na wywiad z prostym człowiekiem? No, litości!

Wielu ludzi interpretuje siebie jako prostych.

- Zapewne słusznie. Ale proszę mnie nie wrabiać w klasizm. Jestem socjaldemokratą, lecz uprzedzam wszystkich lewicowych kołtunów, że choćby stawali na rzęsach, to na świecie będą ludzie głupi, będą chamy i prostacy. I te chamy też będą na kogoś głosować. I przypuszczalnie nie będą to partie lewicowe. Jeżeli którykolwiek z lewicowych publicystów chce dyskutować z moją tezą, że „chamstwo głosowało na PiS”, to zamiast oskarżać mnie o klasizm, niech wypowie tezę przeciwną do mojej. Z konieczności jedna z dwóch musi być prawdziwa. Twierdzą, że chamy głosowały na PO? Ciekawe. Przy okazji: kto przypisuje mi twierdzenie, że jeśli głosujesz na PiS, to jesteś chamem, ten jest głupcem.

Ale czy klasyfikowanie ludzi - wielu powiedziałoby, że obrażanie - jest okej? I czy do czegokolwiek konstruktywnego prowadzi? Może lepiej przyjrzeć się ich motywacjom.

- Świadomość tego, że demokracja daje wpływ na rządy również ludziom złym i głupim, a także wrogom demokracji, jest kluczowa dla przetrwania tego kruchej ustroju. Czym bardziej zabiegający o głosy politycy przymilają się do chamów i ignorantów, tym bardziej istotne jest, aby publiczni moralisci potępiali chamstwo i głupotę.

Bo w naturze demokracji leży upowszechnianie zadufania w sobie i amoralizmu. Gdy nikomu nie mówi się, że jest chamem, to powstaje społeczna iluzja, że chamów nie ma, jest tylko obraźliwe wyzwisko „cham”. Taki zbiorowy narcyzm,

połączony z prześladowaniem każdego, kto ośmiela mu się przeciwstawić, to prosta droga do socjologicznego koszmaru, jakim jest infantylne społeczeństwo złożone z bezbronnych, nieodpornych na manipulacje, niedojrzałych, zakłamanych, a w konsekwencji amoralnych jednostek.

Dlatego z całych sił zwalczam chamstwo i faszyzm. I proszę mi nie mówić, że można je zwalczać bez pokazywania palcem na chamów i faszystów. Albo że nie rozumiem, dlaczego oni tacy są i dlatego ich potępiam. Rozumiem, ale rozumienie nie oznacza usprawiedliwiania.

Myśli pan, że w naszych czasach można mówić o kimś, że jest głupi?

- Czasem nawet trzeba. Wymaga to zresztą pewnej odwagi, ale ja akurat nie mam wiele do stracenia, bo jestem już trochę dziad, jestem profesorem i dziecko mam odchowane. Mnie jest łatwiej. Nie porównuję się choćby z ojcem, który za działalność opozycyjną siedział. Niemniej postrzegam siebie jako osobę publiczną, która wypełnia powierzoną sobie rolę. Oczywiście w ograniczonym zakresie, bo docieram do kilku milionów Polaków.

Współczesna lewica, formułując zasady poprawności politycznej, próbuje wzmocnić wspólnotę. Nie mówimy, że ktoś jest głupi, bo automatycznie wykluczy go to z tej wspólnoty. No w każdym razie nie mówimy tego na głos.

- Bez zaczepki nikomu nie mówię, że jest głupi. Jestem uprzejmym facetem. A co do wspólnoty, to nie wierzę w ponadklasową wspólnotę. Ani narodową, ani opartą na ustroju sprawiedliwości społecznej, w którym antagonizmy są zniesione. Nie widzę szczególnej wartości w tym, żeby więzi społeczne tworzyły

jednolitą sieć. Bardziej wierzę w więzi nakładające się na siebie: tu jest jakaś wspólnota, tam jest jakaś wspólnota, a przy tym pozytywnych interakcji między grupami jest więcej niż antagonizmów. Dekretowanie uniwersalnej wspólnoty to droga do faszyzmu, a lewicowe przymilanie się czy minoderia w stosunku do ludu nie działała ani w XIX wieku, ani w XX, ani nie zadziała w XXI. Ludzi trzeba brać na poważnie. Także na głupców trzeba się gniewać, że są głupcami, a nie traktować jak dzieci mające deficyty, które są naszą winą, bo nie daliśmy im równych szans. Jeżeli traktujemy dorosłego człowieka serio, to wytykamy mu jego wady i stawiamy mu żądania, żeby się zmienił na lepsze. Jeżeli krytykuję połowę Polaków za to, że głosują na partie populistyczne lub faszystowskie, to znaczy, że traktuję ich z szacunkiem.

Ewidentnie nie odnajduje się pan w kulturze źle oceniającej przyjmowanie postawy oceniającej.

- Ano właśnie. Nie oceniaj, nie oceniaj, a bo jak ja cię ocenię, to się nogami nakryjesz! Albo: ja nie ocenię ciebie, ty nie ocenisz mnie i każde z nas będzie sobie dokazywać, ile dusza zapagnie. Takie mamy układy. Jednym z najbardziej absurdalnych mitów współczesnego mieszczaństwa jest wyobrażenie, że nieocenianie drugiego człowieka stanowi warunek uszanowania jego godności. To nie tylko protekcjonalizm, lecz również nihilizm, prosta droga do zepsucia. A pokoju się tak nie zbuduje. Agresja i tak gdzieś znajdzie ujście. Trzeba wszystkich kochać, tak że na koniec zostaje tylko Żyd do nienawidzenia. Nie można go wprawdzie nazwać Żydem, ale można syjonistą. Boję się ludzi, którzy są bardzo grzeczni. Zbiorowa hipokryzja i udawana łagodność to spadek po chrześcijaństwie. [...] □

MOJE ROZWAŻANIA O ATEIZMIE

Ateizm jest bezsprzecznie poglądem filozoficznym, w związku z tym należy go rozpatrywać w kilku filozoficznych obszarach. Najczęściej określa się je jako:

- ontologię obejmującą kwestię istnienia rzeczywistości,
- epistemologię, zajmującą się problemem poznania teje,
- etykę dotyczącą wartości, oraz czasem historię filozofii.

W każdym z tych obszarów ateizm przyjmuje pewne hipotezy i sposób ich dowodzenia.

Historia filozofii jest również ważna, gdyż jej nauczanie jest intencjonalne i zwykle pomniejsza się w nim prądy ateistyczne, które *de facto* stanowią początek filozofii, a także traktuje się w nich religie w sposób nieuprawniony jako prądy filozoficzne.

Zaczynając od podstawowego pytania o istotę bytu, to ateizm stawia hipotezę, iż rzeczywistość istnieje realnie w sposób niezależny od podmiotu poznawczego. To znaczy: czy patrzemy w gwiazdy czy też nie, one istnieją.

Wszechświat istnieje samoistnie i nie ma żadnych przesłanek, by został powołany do życia przez zewnętrzny wobec niego podmiot, obojętnie czy byłby on inteligentny czy też nie. Oczywiście wedle używanych przez ludzkość definicji inteligencji. Takie samo założenie leży u podstaw współczesnej nauki. Zakłada ona, że świat istnieje realnie. Co prawda pojawiają się poglądy o możliwych innych przyczynach istnienia świata, ale nikt jak dotąd nie był w stanie sformułować na ten temat hipotezy, spełniającej kryteria naukowości. Temat ten pojawia więc wyłącznie w tekstach publicystycznych czy różnych rozważaniach nie mających naukowego charakteru.

Drugi element metanaukowy, czy jak się do niedawna mówiło filozoficzny, to założenie poznawalności rzeczywistości. Znamy swoje (tj. ludzkości) ograniczenia, niemniej jednak założenie to zyskało wiele pośrednich dowodów. Ludzkość tworzy nie występujące samoistnie narzędzia – od koła po raketę kosmiczną – które sprawnie działają. To wszystko pośrednie dowody, że wiedza powstająca przy poznawaniu świata jest rzetelna ponieważ pozwala tworzyć te urządzenia. Czyli że co najmniej jest wystarczająca do ich konstrukcji i użytkowania.

Te dwa założenia są wspólne dla nauki oraz ateizmu. W zasadzie więc każdy badacz uprawiający naukę przyjmuje mniej lub bardziej świadomie postawę ateistyczną. A każdy ateista musi akceptować wiedzę dostarczaną poprzez badania naukowe.

Biorąc pod uwagę te dwa założenia niektórzy ateści stosują wybieg określając się jako agnostycy. To hiperpoprawne stanowisko zakładające, że ponieważ nasza wiedza o świecie nigdy nie będzie pełna, zawsze może dojść do odkrycia czynnika, który zmieni diametralnie naszą wiedzę.

Rozumiem to stanowisko ale go nie popieram. W naszym marginalnym być może zakątku kosmosu, z którego ludzkość prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie, nie potrzebujemy takich założeń. W układzie słonecznym i w całym – choćby tylko odrobinę poznanym – kosmosie nie było, nie ma i nie będzie żadnych bogów. Co więcej, uważam, że zbliżamy się do granic naszych możliwości poznawczych, a więc do granic wiedzy o świecie.

Mowa tu oczywiście o istotach realnych, będących przedmiotem poznania naukowego, a nie o „bytach wyobrażonych”, jakże licznych na całym niemal świecie.

Z istnienia tych ostatnich zresztą wiele ludzi czyni argument zwany teologicznym, a niemało w „ich służbie” znajduje źródło swego utrzymania.

Poznanie naukowe jest intersubiektywne, a metodologia naukowa wymaga, by wiedza uzyskiwana w trakcie obserwacji i doświadczeń była powtarzalna i postawione hipotezy muszą być po wielokroć potwierdzane. Trzymanie się tej metodologii umożliwia uzyskiwanie wiedzy o rzeczywistości tak dokładnej, jak to dla człowieka możliwe.

Skoro jedyną drogą ateisty do wiedzy jest nauka, to konsekwentnie powinien też akceptować to, co badania naukowe mówią o człowieku i ludzkości. Od teorii ewolucji po najnowsze badania. Z nakreślonego przez nią obrazu wynika, że człowiek jest zwierzęciem stadnym i współpraca z innymi przedstawicielami swojego gatunku jest niezbędna do przetrwania i jednostki, i gatunku. Na początku ewolucji współpraca ograniczała się do małej grupy. W miarę jak gatunek opanowywał ziemię, współpraca musiała obejmować coraz większe grupy. Współpraca nie musiała być oparta na w miarę równych korzyściach jak na początku. I – niestety – nie opiera się na nich do dziś.

O ile wiem, ani zasad naukowej metodologii ani o wnioskach wynikających z ewolucji nie uczy się powszechnie w szkole. Polska edukacja ma wpisane domniemanie religijności i nawet jeśli nie jest w całości religijna, to nawet bez katechezy w zasadzie jest konfesyjna.

To ma swoje skutki szczególnie widoczne w czasie pandemii. Większość tych, co się szczepią, nie ma nawet pojęcia, jak działa system immunologiczny, jak działają szczepionki, czym się różnią bakterie od wirusów. Nie mają utrwalonej podstawowej wiedzy biologicznej, ponieważ nauczanie w szkole ignoruje zarówno wiedzę o teorii ewolucji, jak o jej konsekwencjach.

Wracając do ateizmu: nie można być ateistą jedynie nie wierząc w tego czy innego boga. Jest się wtedy co najwyżej osobą niewierzącą czy niereligijną. Ateizm wymaga akceptacji metody naukowej. Ateista jest ewolucjonistą. To część naukowej wiedzy o człowieku. Akceptacja faktu, że jest się zwierzęciem z nieco przerośniętym *ego*, nie jest jak się okazuje łatwa nawet dla ateistów. Nie jest możliwe poznanie człowieka, jego zachowań, bez odwołania się do teorii ewolucji. Badając zachowania zwierząt przybliżamy się do wiedzy o sobie jako gatunku.

Nie powinniśmy siebie idealizować nie tylko dlatego, że jesteśmy wytworem adaptacji do przypadkowych zmian otoczenia. Przede wszystkim dlatego, że utrudnia to dotarcie do wiedzy o źródłach naszych zachowań. *Homo sapiens sapiens* to raczej wyraz nadziei, niż stwierdzenie faktu.

Normy etyczne są wytworem kultury i mają regulować zwierzęce zachowania człowieka. Nie zachowujemy się jak zwierzęta, a przynajmniej nie zawsze, bo stosujemy się do norm, które umożliwiają nam funkcjonowanie w społeczeństwie, a społeczeństwo jest naszym podstawowym środowiskiem. Jest też głównym elementem (jeśli współcześnie nie jedynym) wpływającym na naszą ewolucję. Bo ewolucja cały czas trwa, zakończy się dopiero wraz z naszym wymarciem. Normy etyczne tak samo jak religie są wytworem ewolucji człowieka w społeczeństwie. Nie wiemy, czy musiały powstać, ale powstały. A skoro powstały, to mogą ewoluować i oczywiście takim procesom podlegają. Mogą też zniknąć tak samo, jak się pojawiły.

I tym optymistycznym akcentem kończę, bo powodów do optymizmu zbyt wielu nie ma. Optymista od pesymisty różni się między innymi poglądem na datę końca świata. Optymista wyobraża sobie, że będzie to nieco później. □

JERZY KORNAŚ

SUWERENNOŚĆ PAŃSTWA POLSKIEGO A KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI. REFLEKSJE HISTORYCZNE I WSPÓŁCZESNE

Część II

Od suwerenności do podległości

Osobny rozdział stanowi problem suwerenności władz państwowych wobec Kościoła w okresie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Współczesne narracje tego okresu stosunków państwo – kościół wyraźnie najczęściej formułowane są z pozycji ignorowania ówczesnej polskiej racji stanu i podkreślania pozytywnej roli Kościoła w procesie demontowania „komunizmu” i poszerzania sfery wolności. Przyjmuje się niekiedy nawet skrajne poglądy, że to Kościół wyrażał w tym czasie wolę narodu, a PRL był narzuconą okupacją. Polemika z tego rodzaju opiniami jest trudna, ponieważ opierają się one na przyjęciu ahistorycznych założeń i ferowaniu ocen moralnych w stosunkach między państwem a Kościołem. Początkiem uniezależnienia się władz państwowych od Kościoła była uchwała Rady Ministrów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z 12 września 1945 r. o wygaśnięciu obowiązywania konkordatu z 1925 r. na skutek jednostronnego zerwania go przez Stolicę Apostolską. Abstrahując od ówczesnej współpracy, a zarazem konfliktowości tych stosunków, w pierwszym dwudziestopięcioleciu PRL dokonał się proces zeświecczenia państwa i wprowadzenia

konstytucyjnej zasady rozdziału kościoła od państwa. Z formalnego punktu widzenia dokonało się polityczne i doktrynalne uniezależnienie władz państwa od wpływów politycznych Kościoła. Proces normalizacji z Watykanem nastąpił dopiero w początkach lat siedemdziesiątych po ratyfikacji przez Bundestag w 1972 r. układu o podstawach normalizacji stosunków między PRL i RFN z grudnia 1970 r. Następstwem tego było uznanie przez Stolicę Apostolską w maju 1972 r. polskich granic na zachodnich i północnych oraz dostosowanie do nich podziału administracji kościelnej. Jednocześnie Stolica Apostolska zakończyła misję dyplomatyczną Kazimierza Pappe przy Watykanie - przedstawiciela rządu emigracyjnego w Londynie, uznając w ten sposób rząd PRL za jedyne władze Polski. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pozycja Kościoła w PRL rosła systematycznie wskutek narastających konfliktów między władzą a społeczeństwem. Kościół w Polsce stał się silną alternatywą wobec rządzącej partii, a w sytuacjach konfliktowych przejmował rolę mediatora między radykalną częścią społeczeństwa, a władzami PRL. Pozycję Kościoła wobec słab-

ącego legitymizmu rządzących w PRL umocnił także wybór Karola Wojtyły w 1978 r. na papieża. Stosunki między państwem, a kościołem w PRL trafnie zobrazował M. Agnosiewicz pisząc:

„Kościół i Partia były organizacjami o konkurencyjnych względem siebie ideologiach. Obie organizacje ideowe – jedna zorganizowana w formie partii, druga – kościoła – były fundamentalnie sprzeczne. (...) System upadł, bo załamał się gospodarczo i nie był w stanie zaspokoić potrzeb ludności. Nie dlatego, że nie zaspokajał potrzeb wyznaniowych czy roszczeń Kościoła. Te ostatecznie miały się całkiem dobrze. Katechizacja funkcjonowała harmo-

nijnie, budownictwo sakralne przeżywało prawdziwy boom. W latach 1975 – 1990 wybudowano 1500 nowych kościołów. (...) Kościół i Partia jako podmioty podobnie zarządzane – bez jakiegokolwiek demokracji wewnętrznej – częstokroć łątwo znajdowały wspólny język.”³² Wypada do tego jednak dodać, że mimo tej trudnej koegzystencji zarówno suwerenność wewnętrzna, a przede wszystkim zewnętrzna PRL wyraźnie pozy-

³² M. Agnosiewicz, Kościół, Partia, współżycie, w: PRL bez uprzedzeń pod redakcją J. Majmurka, P. Szumlewicza, Wydawnictwo Książka i Prasa, Warszawa 2011, s. 163.

tywnie odróżniała ją okresu poprzedniego.

Transformacja ustrojowa i skok w demokrację obudził nowe nadzieje na silne społeczeństwem obywatelskim państwo. Tak się nie stało i zależność instytucji państwowych od Kościoła jest gołym okiem widoczna, a dominacja tego związku wyznaniowego w obywatelskości publicznej państwa jest powszechna.³³ W okresie schyłkowym PRL – u ówczesne media i publikacje wstydliwie ukrywały przed społeczeństwem, że w państwie gdzie obowiązywał konstytucyjny rozdział kościoła od państwa jednym

z najważniejszych podmiotów systemu politycznego, obok dominującej partii

³³ D. Karnowska, Religia i polityka. O mariażu sacrum i profanum na przykładzie Polski w latach 2005 – 2008, w: Demokracja w Polsce po 2005 roku, pod redakcją D. Karnowskiej, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, s. 237 – 242; S. Obirek., Episkopat twierdzą autorytaryzmu, „Przegląd” 2015, nr 20, s. 8-12; C. Łazarewicz, Raport co Kościół ma, „Polityka” 2010, nr 40, s. 36-41; M. Agnosiewicz, Czy III RP zasługuje na zbawienie? Zarys relacji państwo – Kościół po 1989 roku, w: Stracone szanse? Bilans transformacji 1989-2009, pod redakcją naukową J. Majmurka, P. Szumlewicza, Wydawnictwo Difin, Warszawa 2009, s. 89-118.

rzządzającej, był Kościół Rzymskokatolicki. Po przełomie tranzycyjnym zjawisku temu nadawano stopniowo rangę normalności, legitymizowaną przez oficjalnych przedstawicieli władzy, a przede wszystkim dyspozycyjnych polityków i koncesjonowanych przez Kościół grup i partii politycznych. Na szczegółowy opis procesu podporządkowania sobie państwa przez Kościół w okresie transformacji ustrojowej nie ma w tych rozważaniach zbyt wiele miejsca.³⁴ Ograniczymy się tylko do kwestii konstytucyjnych rozwiązań, które naszym zdaniem mogły mieć po 1997 roku decydujące znaczenie dla zahamowania przekształcania RP w państwo quasi wyznaniowe.

Źródła formalno-prawnych, pozwalających na nieskrępowany rozwój klerykalizacji w Polsce należy szukać w podpisanym, ale ratyfikowanym później Konkordacie z 1993 r. i obowiązującej Konstytucji RP. Rozstrzygnięcie wzajemnych relacji w przepisach konstytucyjnych można uznać za wysoce dyskusyjne, szczególnie z dzisiejszej perspektywy. Cztery z pięciu ustępów art. 25 budzi poważne wątpliwości interpretacyjne.³⁵ Art. 25 ust. 1 stwierdza, że „kościóły i związki wyznaniowe są równouprawnione”. Z kolei w ust. 4 zapisano, że „stosunki między Państwem a Kościołem Katolickim określa umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy”. Powstaje pytanie: jakie skutki prawne rodzi umowa międzynarodowa wymagająca upoważnienia Sejmu do jej podpisania, a jakie ustawa zwykła? W przypadku usta-

wy zwykłej państwo jest suwerenne w uchwalaniu aktów prawnych regulujących stosunki wewnętrzne. W zawieraniu umów międzynarodowych jest tylko jedną ze suwerennych stron. Ratyfikowana umowa międzynarodowa jest w świetle art. 91 ust. 2 i 3 Konstytucji RP, drugim po konstytucji źródłem prawa. Jeśli art. 25 ust. 4 nakłada na państwo obowiązek ułożenia stosunków w formie konkordatu z Kościołem działającym na jego terytorium, to dobrowolnie ogranicza własną suwerenność i popada w sprzeczność z ujętą w ust. 1 zasadą równouprawnienia kościołów i związków wyznaniowych. Sprzeczność ta nie wynika z faktu, że tylko Kościół posiada zwierzchnią władzę uznaną za podmiot prawa międzynarodowego, ale na przepisie konstytucyjnym, z którego wynika nakaz zawarcia umowy międzynarodowej ze Stolicą Apostolską. W przeciwnym przypadku stan prawny stosunków państwo – kościół należy uznać za nieuregulowany konstytucyjnie. Ponadto ten właśnie ustęp podważa, jak wynika z hierarchii ważności źródeł prawa, równouprawnienie wszystkich kościołów i związków wyznaniowych. Wątpliwość druga wiąże się z użyciem w ust. 2 tegoż artykułu terminu „bezstronność” władz państwowych wobec przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych swoich obywateli. Określenie to analizowała jeszcze w trakcie trwania prac nad konstytucją B. Górowska stwierdzając, że termin ten nie występował dotychczas w języku konstytucyjnym.³⁶ Pojawił się on zamiast słowa

³⁴ Zob. M. Pietrzak, *Prawo wyznaniowe*, Wydawnictwo LexisNexis, Warszawa 2005, s. 207 – 209.

³⁵ Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997r. Dz.U. nr 78 poz. 483.

³⁶ B. Górowska, *Zagadnienia wolności sumienia i wyznania w pracach na projektem Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej*, w: A. Czohara, B. Górowska, M. Nadolski, J. Osuchowski, *Dylematy wolności sumie-*

„neutralność”, którego nie akceptowali parlamentarzyści związani z Kościołem i on sam przez swoich przedstawicieli w Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Uznanie tożsamości znaczenia obu terminów nie wydaje się mimo wszystko uzasadnione.³⁷ Skoro termin „bezstronność” nie był dotychczas używany w języku konstytucyjnym, to jego stosowanie może okazać się trudne do zinterpretowania w konkretnych orzeczeniach prawnych. Ponadto należy zwrócić uwagę, że „bezstronność” w ust. 2 art. 25 odnosi się do władz publicznych Rzeczypospolitej Polskiej, a więc administracji publicznej, samorządów terytorialnych i zawodowych, wykonujących zadania zlecone przez państwo. W świetle konstytucji również one są zobowiązane do zachowania „bezstronności” w sprawach wolności przekonań obywateli. Z kolei trzecie zastrzeżenie dotyczy ust. 3 art. 25 mówiącego o „poszanowania ich autonomii i oraz wzajemnej niezależności każdego w swoim zakresie” w stosunkach między państwem, a kościołami i innymi związkami wyznaniowymi. Na niezręczność tego sformułowania jeszcze w trakcie przygotowywania konstytucji zwrócił uwagę Profesor Leszek Wiśniewski pisząc: „Zawsze pojęcie „autonomia” odnosi się do mniejszej części istniejącej w ramach większej całości, a nie przeciwnie. To państwo wyraża zgodę na kierowanie się przez kościoły własnymi prawami, pod warunkiem ich nie-

nia i wyznania w państwach współczesnych, Warszawa 1996, s.172.

³⁷ Stanowisko takie reprezentował podczas prac nad konstytucją ekspert Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego Leszek Wiśniewski, Tor przeszkód projektu nowej konstytucji „Rzeczpospolita” z 20 czerwca 1996.

sprzeczności z prawem państwowym, a więc tylko państwo jest podmiotem suwerennym i w ramach jego struktury funkcjonują Kościoły i związki wyznaniowe jako podmioty autonomiczne. Przepis ust. 3 mówiąc o „wzajemnej niezależności” państwa i Kościołów oraz innych zw. wyznaniowych tworzy coś w rodzaju państwa w państwie – co nie było celem żadnej ze stron.”

³⁸ Uprzywilejowanie Kościoła tak dalece usankcjonowano w konstytucji, że suwerenność wewnętrzną państwo polskie wyraźnie samoograniczyło, podważając kolejny raz zasadę „bezstronności”. Ostatnie zdanie ust. 3 mówiące o „współdziałaniu dla dobra człowieka i dobra wspólnego” stanowi dalszą niekonsekwencję art. 25 Konstytucji. Potwierdza ono fakt innej treści terminu neutralność i bezstronność oraz deklaruje współdziałanie do czegoś, co nie zawsze musi być jednoznaczne. „Dobro człowieka i wspólne dobro” w rozumieniu kościołów i związków wyznaniowych może być inaczej pojmowane niż dobro obywateli, których prawa winno państwo strzec i chronić przed zagrożeniem. Przepisy konstytucji dotyczące stosunku między RP a Kościołem są konstrukcją prawną nie tylko kompromisu politycznego, ale ustępstwem państwa kosztem ograniczenia suwerenności wewnętrznej wobec państwa zewnętrznego – Stolicy Apostolskiej. Ratyfikacja korzystnego dla niego konkordatu 23 lutego 1998 r.³⁹ dała dodatkowy asumpt do skutecznej presji instytucjonalnego Kościoła na władze państwowe, w celu osiągnięcia dalszych przywilejów politycznych i material-

³⁸ Ibidem.

³⁹ W świetle niektórych opinii ratyfikowany on został z naruszeniem prawa. Zob. M. Pietrzak, op. cit., s. 211- 212.

nych.⁴⁰ Barbara Stanosz, odnosząc się do roli kościoła w Polsce oceniała, że wszystkie dotychczasowe i liczne nowe przywileje Kościoła są aktem rezygnacji z demokracji na rzecz wyznaniowego (czy parawyznaniowego) charakteru państwa.⁴¹ W krytycznej ocenie art. 25 polskiej konstytucji, regulującego stosunki między państwem a kościołem, pisała ona o kalectwie ustawy zasadniczej i wyrażała obawę, czy to kalectwo nie spowoduje ostatecznego uwiądnięcia demokracji w Polsce.⁴² Z dzisiejszej perspektywy nie trudno dostrzec trafność tej obawy, ponieważ konstytucja nie stwarza dostatecznych gwarancji zachowania suwerennego oblicza demokratycznego państwa, a zwłaszcza wykonywania nadrzędnej zwierzchności na swoim terytorium wobec tak historycznie osadzonej w Polsce instytucji i chcącej realizować ideową misję międzynarodowej organizacji wyznaniowej.

W historycznych rozważaniach nad suwerennością państwa polskiego nie sposób nie skłonić się do smutnej refleksji, że ominięcie państwa polskiego przez dominującą w Europie tendencję rozwoju oświeconego absolutyzmu czy rewolucji oświeceniowej w XVII i XVIII w. spowodowało w konsekwencji utratę przez Polaków własnego państwa. Polacy w okresie reform Oświecenia, a następnie narodzin nowoczesnego narodu nie

⁴⁰ P. Dybicz, Na tacy Kościoła i pod tacą, „Przegląd” 2013, nr 20, s. 8 – 11; C. Łazarewicz, op. cit., s. 36-41.

⁴¹ B. Stanosz, W cieniu kościoła czyli demokracja po polsku, czyli demokracja po polsku, Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, Warszawa 2004, s. 42; Por. Religia władzy. Rozmowa Kacpra Leśniewicza z dr Pawłem Boreckim, „Przegląd” 2015, nr 46, s. 16 – 19.

⁴² B. Stanosz, ibidem, s. 70.

posiadając suwerennego państwa skazani zostali na wpływy ideowe i polityczne Kościoła, który akceptował w tym czasie doktrynalnie legitymizm absolutnej władzy monarchicznej, odpowiadającej jego naturze polityczno-instytucjonalnej. Zorganizowany hierarchicznie i osadzony historycznie w formującej się w warunkach rozbiorów świadomości narodowej stał się on dla Polaków jedynym trwałym substytutem państwa polskiego. Rodzące się pod koniec XIX w. na ziemiach polskich ruchy polityczne nie mogły tego zmienić, a w okresie II RP większość z nich zabiegała o poparcie Kościoła, co ograniczało wobec niego pole niezależności władz państwowych. Odziedziczony historycznie przez PRL układ stosunków państwo – kościół mimo przeprowadzenia zasadniczych zmian na korzyść suwerennego wobec Kościoła świeckiego państwa zakończył się ostatecznie kompromisem. W okresie transformacji stosunki te w znacznych obszarach działania państwa zostały stopniowo poddane kontroli Kościoła ograniczając suwerenność wewnętrzną państwa.

Konkludując, nie będzie przesadą twierdzenie, że aktualizuje się współcześnie historyczna refleksja sformułowana przez wybitnego polskiego humanistę profesora K. Grzybowskiego odnośnie roli katolicyzmu w Polsce do czasu rozbiorów: „Co dał Polsce katolicyzm, za nadbudowę jakiej polityki służył? Zda się, że nie będzie przesadą twierdzenie, iż Polska była narzędziem katolicyzmu, że katolicyzm nigdy nie służył celom polskim. (...) Katolicyzm stał się siłą polityczną tylko w tych narodach, którym dał coś tu, na ziemi – jak Francja czy Hiszpania, czy nawet Niemcy.”⁴³ □

⁴³ K. Grzybowski, Refleksje sceptyczne, Książka i Wiedza, Warszawa 1972, s. 307-308.

KONKORDAT A KONSTYTUCJA

W dokumencie regulującym relacje Polski z Kościołem Stolica Apostolska jest wymieniona na pierwszym miejscu, a Rzeczpospolita Polska na drugim.

Sytuacja polityczna na świecie i w Polsce jest przełomowa. Pośród wielu zjawisk, które zmieniają naszą rzeczywistość, mamy również postępującą laicyzację większości społeczeństw Zachodu oraz radykalne osłabienie znaczenia i wpływów politycznych Kościoła katolickiego. Proces ten trwa już od dekad, lecz przyspieszył w ostatnich latach z powodu niebywałego wysypu skandali pedofilskich na świecie.

Burza nie ominie również Polski i polskiego Kościoła. To tylko kwestia czasu. Jeśli znajdziemy w sobie dość odwagi i determinacji, aby odpowiedzieć na patologię w Kościele i w relacjach Państwo-Kościół oraz nareszcie uregulować te stosunki na zasadach praworządności i respektu dla równego traktowania wszystkich wyznań oraz neutralności religijno-światopoglądowej państwa, możemy się doczekać prawdziwie wolnej Polski – niepodległej nie tylko w stosunku do Niemiec czy Rosji, lecz również Kościoła rzymskokatolickiego.

Takiej wolności nigdy nie mieliśmy. Kto wie, może po tym wszystkim, co nam się dziś przydarza na niwie politycznej, nareszcie dojrzejemy do myślenia o wolności w kategoriach rozdzielania „tronu i ołtarza”, czyli świeckości państwa oraz jego niezależności od opinii i interesów papieża, kurii rzymskiej i miejscowych biskupów. Społeczeństwa Zachodu przemyślały te zagadnienia już setki lat temu – dla nas wciąż są one tabu.

Specjalne przywileje rzymskiego Kościoła

Wbrew pozorom warunki są sprzyjające. Opresja, w jakiej jesteśmy pod rządami PiS, może mieć pozytywne skutki dla świadomości politycznej Polaków. Oto po raz pierwszy od upadku PRL powszechnie i poważnie mówi się o Konstytucji. Wielu obywateli zapewne zapamięta, że Konstytucja to nie tylko retoryczna deklaracja niepodległości Polski i wykaz ogólnoludzkich wartości, lecz także nadrzędne prawo gwarantujące nienaruszalność swobód i praw jednostki oraz pryncypiów demokratycznego i praworządnego państwa. Głęboka symbioza władzy z Kościołem, który jak nigdy wcześniej od II wojny stał się podmiotem politycznej walki o władzę, oznacza zaś, że również relacje państwa i Kościoła stają się dla społeczeństwa rzeczywistym problemem politycznym i ustrojowym, a świeckość państwa zaczyna być rozumiana jako prawdziwa wartość demokratycznego życia publicznego. Zapewne już dziś większość Polaków nie nabiera się na kłamliwą kliszę zrównującą świeckość z „ateizacją”.

Mimo że tak ważną rolę w walce o utrzymanie demokratycznego państwa prawnego odgrywa nasza konstytucja, której poszanowania domagamy się dziś przede wszystkim, nie możemy zamykać oczu na niedoskonałości tego kluczowego dla państwa dokumentu. A największa z tych niedoskonałości to wewnętrzne załamanie ducha wolności, równości i suwerenności, którym jest obecność w Konstytucji jedynego nazwanego z imienia państwa trzeciego – Stolicy Apostolskiej. Państwu temu



Nuncjusz apostolski abp Józef Kowalczyk i min. spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski po podpisaniu Konkordatu. Fot. PAP/A.Dunin-Kreplicz

udziela się w Konstytucji, co najmniej pośrednio, specjalnych przywilejów na naszym terytorium, nakazując Państwu Polskiemu zawarcie umowy międzynarodowej (w praktyce: konkordatu), mimo że inne związki wyznaniowe, niemające statusu państwowego, analogicznej możliwości nie mają.

Kościół katolicki korzysta z dobrodziejstw uchwalonej jeszcze w PRL ustawy o stosunku Państwa do Kościoła, a podobne ustawy chronią interesy również innych związków wyznaniowych. Jednak konkordat to znacznie więcej niż ustawa – to właśnie umowa międzynarodowa, i to szczególnie, bo z zasady niesymetryczna, czyli ustanawiająca szczególne prawa i przywileje Kościoła w danym państwie, prawie bez żadnego zrównoważenia tych korzyści poprzez uprawnienia przyznane drugiej stronie.

Biskupi pouczają Państwo

Nasza Konstytucja popada w jawną sprzeczność, gdy w tym samym art. 25 raz stanowi, że związki wyznaniowe są równe (pkt 1), a za chwilę, że stosunki między RP a Stolicą Apostolską reguluje umowa międzynarodowa (pkt 4). Skoro pozycja wszystkich związków wyznaniowych ma być taka sama, to oczywiście musi być regulowana w każdym przypadku na takim samym poziomie – równo dostępnym dla wszystkich zainteresowanych.

To, że Kościół jest podmiotem prawa międzynarodowego, nie ma tu żadnego znaczenia. Niby z jakiej racji silniejsza pozycja Kościoła katolickiego w relacjach międzynarodowych, wynikająca z jego podmiotowości państwowej, miałyby się przekładać na uprzywilejowany sposób regulowania relacji z Państwem Polskim? Przecież takiego uprzywilejowania wprost zabrania art. 25 pkt 1 mó-

wiący o równouprawnieniu kościołów (przez małe „k” – wielka litera zastrzeżona jest w Konstytucji dla Kościoła katolickiego) i związków wyznaniowych!

Udajemy, że tej sprzeczności nie widzimy, mimo że jest bolesnym dowodem serwilizmu państwa w stosunku do Rzymu i papieża, a w rezultacie również w stosunku do polskich biskupów. Jak bardzo asymetryczne są te stosunki i jak bardzo temat suwerenności i godności Polski w relacjach z Rzymem jest wciąż u nas tabu, świadczy sposób, w jaki Polska negocjuje czy komunikuje się z Kościołem. Przywódcy państwa nie ośmielają się rozmawiać z papieżami o wspólnych sprawach, o wielkich i rosnących wydatkach państwa na Kościół, o nadużyciach finansowych, o sprzecznym z literą konkordatu wtrącaniu się Kościoła w polskie prawo. Papieżom składa się tylko hołdy, a wszelkie rozmowy prowadzone są na bardzo niskim szczeblu dyplomatycznym, bo z biskupami (co sankcjonuje konkordat). I z nimi zresztą nie są to żadne rozmowy, gdyż wszystko sprowadza się właściwie do gwarancji kościelnych przywilejów i wpływów, hołdów dla religii katolickiej i kościelnych doktryn oraz unizonej kurtuazji.

Partnerskiego kontaktu na godnym szczeblu Polskie Państwo ze Stolicą Apostolską nie ma. Za to jedyna korzyść, jaką ma Polska z zawarcia konkordatu – a mianowicie, że jak stanowi art. 1: „Państwo i Kościół katolicki są – każde w swej dziedzinie – niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach” – jest korzyścią fikcyjną, bo art. 1 jest ignorowany. Biskupi bez skrępowania raz po raz pouczają Państwo Polskie co do praw, jakie ma stanowić (np. w kwestii aborcji czy za-

plodnienia pozaustrojowego), i czynią to nie jako osoby prywatne (do czego mają prawo), lecz jako biskupi właśnie, naruszając zasadę poszanowania autonomii.

Cóż innego miałyby być przykładem takiego naruszenia, jeśli nie otwarte wtrącanie się w prawodawstwo – wewnętrzną sprawę naszego kraju? Czy można sobie wyobrazić, aby rząd kraju, w którym mieszkają miliony katolików, łożącego na rzecz Kościoła ogromne kwoty – sugerował cokolwiek odnośnie do rozwiązań prawnych, jakie powinien przyjmować Kościół w swych kanonach? Np. w sferze równego traktowania kobiet i mężczyzn albo demokracji w Kościele?

Byłoby to niesłychane. Ale tak samo jest czymś niesłychanym i skandalicznym, gdy Konferencja Episkopatu Polski lub poszczególni biskupi próbują dyktować ustawy Sejmowi, a przez to i narodowi. Podobnie jak martwy jest przepis konkordatu o wzajemnym poszanowaniu autonomii obu umawiających się państw, nigdy nie powołano komisji regulującej stosunki finansowe między Państwem a Kościołem. Żywe, i to jak żywe, są za to wszystkie te punkty, które mówią o finansowaniu przez państwo różnych obszarów działalności kościelnej.

Polski konkordat nie wziął się znikąd. Tworzenie Europy wolnych narodów wymagało kompromisu z siłami *ancien régime*’u, tzn. z arystokracją i Kościołem katolickim. Dla zagwarantowania względnej niezależności państw narodowych od władzy papieskiej zawierano umowy ustanawiające pewną autonomię państw względem kościelnego imperium – w zamian za przywileje i gwarancje dla Kościoła. Umowy te, zwane konkordatami, zawierano już w średniowieczu, któremu nieobce

były spory władzy świeckiej z kościelną. W czasach nowożytnych ta feudalna z ducha instytucja stała się jeszcze bardziej przydatna do utwierdzania wolności narodów.

Jednak w XXI w. zagrożenia wszechwładzą Kościoła już nie ma, konkordaty pełnią więc funkcję odwrotną niż w pierwszych stuleciach epoki nowożytnej – służą utrwaleniu niektórych anachronicznych przywilejów kościelnych, wbrew zasadzie równego traktowania wszystkich obywateli i ich zrzeszeń. Czasami *de facto* ustanawiają Kościół „państwem w państwie” i sankcjonują jego praktyczną eksterytorialność. Tak jest w przypadku Polski. Z punktu widzenia prawa, przekraczając bramę posesji kościelnej, właściwie udajemy się za granicę, jakbyśmy przekraczali próg ambasady obcego państwa.

Polski konkordat, zawarty ze Stolicą Apostolską przed 20 laty, jest doprawdy szczególny. W wielu punktach powtarza treści konkordatu z 1925 r., kiedy to II RP otwarcie traktowała Kościół jako część ogólnego aparatu władzy, czego paradoksalną konsekwencją było odbieranie od biskupów przysięgi na wierność Rzeczypospolitej. W konkordacie współczesnym idea państwa wyznaniowego jest już nieobecna – obecne są za to liczne przywileje Kościoła typowe dla teokracji. Nie mają one wszelako żadnego umocowania w Konstytucji, która gwarantuje neutralność światopoglądową państwa, co – na zdrowy rozum – wyklucza nie tylko faworyzowanie katolicyzmu, lecz w ogóle angażowanie się państwa w życie religijne i wspieranie instytucji religijnych.

W preambule stwierdza się, że umowę zawarto z uwagi na szczególną rolę Kościoła w historii Polski oraz znacze-

nie pontyfikatu Jana Pawła II, który zresztą sam pod hołdem dla swej osoby się podpisał. Skoro konkordat został przyjęty niejako w nagrodę i w hołdzie Kościołowi, to ma się rozumieć, że zawiera prezenty i nagrody dla Kościoła, a nie jest uczciwym i symetrycznym ułożeniem stosunków między dwoma państwami.

Serwilizm Polski posunięty jest w konkordacie tak daleko, że zupełnie pominięto w nim istnienie niekatolików i ich prawa. Wiernopoddańczość i niezgodność z Konstytucją wyzierają z wielu artykułów – aż do śmieszności. Np. w świetle art. 13 każdy przeciwnik katolicyzmu i Kościoła albo wyznawca religii, o której Kościół wyraża się wielce niepocholebnie, jeśli tylko urzęduje kolonie dla dzieci, musi zapewnić im możliwość udziału w mszy, a pewnie i dowieźć je tam na swój koszt. Sumienie niekatolika można łamać bez skrępowań. To zupełnie tak, jakby prawo nakazywało kościelnym organizatorom wypoczynku dla dzieci, aby zapewnili dostęp do meczetu dziecku, które sobie tego zażyczy.

Kościół ponad prawem

Jednakże istotę konkordatu wyraża jego art. 5: „Przestrzegając prawa do wolności religijnej, Państwo zapewnia Kościołowi katolickiemu, bez względu na obrządek, swobodne i publiczne pełnienie jego misji, łącznie z wykonywaniem jurysdykcji oraz zarządzaniem i administrowaniem jego sprawami na podstawie prawa kanonicznego”.

Wynika stąd (podobnie jak z kilku innych artykułów konkordatu), że Kościół kieruje się w pierwszej kolejności prawem własnym (kanonicznym), a dopiero później prawem Rzeczypospolitej Polskiej – analogicznie do tego, jak

przysięgający posłuszeństwo papieżowi biskupi przedkładają lojalność wobec obcego państwa, jakim jest Stolica Apostolska, nad lojalność wobec własnego kraju. Tym samym suwerenna Polska musi na swoim terytorium uznawać pierwszeństwo obcego prawa, a obce państwo, jakim jest Stolica Apostolska, podporządkowuje się prawu polskiemu na terytorium RP całkiem dobrowolnie, a więc niejako czyniąc Polsce łaskę.

Żadne inne państwo ani jego obywatele nie są w podobny sposób postawieni ponad prawem. Sytuacja ta – naturalna w czasach powszechnej teokracji, która panowała w średniowieczu i w pierwszych stuleciach ery nowożytnej – dziś oznacza nie tylko anachronizm, lecz również ciężkie upokorzenie dla nowoczesnego państwa aspirującego do suwerenności.

Pięć warunków elementarnego ładu

Konkordat nie tylko jest poniżający dla Polski, lecz w dodatku nie jest przestrzegany tam, gdzie mimo wszystko prawa i godność Rzeczypospolitej jakoś chroni. Jeśli rząd, który nastanie po odnięciu PiS od władzy, miałby nawiązać bardziej podmiotowe i symetryczne relacje z Kościołem, broniąc godności Polski jako suwerennej i świeckiej republiki, na pierwszym miejscu musiałby właśnie sprzeciwić się notorycznemu łamaniu konkordatu przez Kościół, a więc reagować odpowiednimi notami dyplomatycznymi na każdy przypadek wtrącania się biskupów w kwestie ustawodawcze i administracyjne należące do wyłącznej kompetencji rządu RP.

Drugi wymóg to – moim zdaniem – uporządkowanie relacji finansowych, a więc audyt wszelkich dotacji ze środków publicznych na cele kościelne oraz zaprowadzenie zasady przejrzystości fi-

nansów Kościoła jako warunku otrzymywania jakichkolwiek dalszych subsydiów.

Art. 22 pkt 2 konkordatu przewiduje utworzenie specjalnej państwowo-kościelnej komisji do spraw finansów. Takowa nigdy nie powstała, co stanowi najlepszy dowód na to, że celem umowy ze Stolicą Apostolską są wyłącznie gwarancje dla Kościoła, a „symetryczne” korzyści państwa występują tam wyłącznie pro forma. Każdy rząd polski pretendujący do obrony interesu narodowego powinien się natychmiast upomnieć o ten artykuł konkordatu i zaprzestać zasypywania pieniędzmi instytucji kościelnych na każde żądanie, na granicy prawa lub poza prawem i bez żadnych widoków na możliwość kontrolowania tych wydatków.

Nie do zaakceptowania jest również klerykalizacja szkolnictwa i organizowanie lekcji religii w środku dnia zajęć szkolnych oraz wyprowadzanie dzieci przedszkolnych nieuczestniczących w katechezie do innych sal, co odczuwają jako karę. Uporządkowanie tych spraw to warunek trzeci normalizacji.

Czwarty to weryfikacja nieprawdopodobnych malwersacji, do jakich doszło w historii patologicznej działalności tzw. komisji majątkowej, w praktyce oddającej Kościołowi bez żadnego prawa odwoławczego każdą nieruchomość, którą Kościół uznał za stosowne wskazać jako swoje roszczenie.

I wreszcie warunek piąty – zero tolerancji dla niepowiadamiania organów ścigania o znanych władzom kościelnym przypadkach przestępstw seksualnych.

Tych pięć warunków to byłby zaledwie początek porządkowania relacji Państwo-Kościół, a więc wstęp do dalszych działań zmierzających do spro-

wadzenia Kościoła do tej samej pozycji prawnej, w jakiej znajdują się inne organizacje powołane do szerzenia jakichś idei czy światopoglądu.

Równe traktowanie to dla Kościoła piekło – takie i tylko takie piekło Polska jako wolny i świecki kraj respektujący wolność religijną i równość praw wszystkich organizacji i zrzeszeń wolnych obywateli powinna Kościołowi zgotować. Jeśli ośmieli się on nazwać je „prześladowaniem”, warto przypomnieć mu kilka, a może kilkaset, czarnych, krwawych kart jego historii, historii XX-wiecznej nie wyłączając. Bo twierdzenie, że Kościół zawsze stał po stronie Polski i jej niepodległego bytu, jest brutalnym kłamstwem – tak absurdalnym, że tylko ignorancja i zaślepienie pozwala mu wciąż utrzymywać się w przestrzeni publicznej.

Aby Polska nareszcie wyszła ze średniowiecza

Bez zmiany Konstytucji nie jest możliwe wypowiedzenie upokarzającego konkordatu, o ile jednocześnie nie weszłyby w życie inna umowa międzynarodowa. Zapewne nieprędko powstanie większość parlamentarna i prezydent gotowi tak zmienić Konstytucję, aby nie było już w niej nakazu zawarcia umowy ze Stolicą Apostolską. Możliwe jest jednak literalne odczytanie Konstytucji, gdzie nie mówi się o „konkordacie”, lecz właśnie o „umowie międzynarodowej”.

Wypowiedzenie konkordatu oznaczałoby natychmiastowe zaistnienie niekonstytucyjnego stanu rzeczy. Gdyby jednak Stolica Apostolska została nakłoniona do negocjowania nowej umowy – nienazwanej się już konkordatem – mogłaby ona zastąpić obecny konkordat. Oczywiście nie jest w interesie Kościoła i kurii rzymskiej, aby tak się stało. Polska za-

pewne spotkałaby się z odmową. Jedyny argument, którym można by przekonać papieża i Kościół do podjęcia rokowań, to zapowiedź znacznego ograniczenia przywilejów Kościołów oraz dotacji.

Biskupi pouczają Państwo

Skoro pozycja wszystkich związków wyznaniowych ma być taka sama, to oczywiście musi być regulowana w każdym przypadku na takim samym poziomie – równo dostępnym dla wszystkich zainteresowanych.

Świecka Polska to wolna Polska. Lecz także wolny Kościół. Bo presja religijna, narzucanie społeczeństwu prawa wyznaniowego i korzystanie z wymuszonego uprzywilejowania poniżają nie tylko naród, lecz również sam Kościół. Katolikom powinno zależeć na tym, by ich wiara obywatela się bez państwowego wsparcia i instytucjonalno-ideologicznej presji w sferze edukacji i w życiu publicznym. Jest sprawą honoru katolików (i pozostałych wierzących), by wiara była wolna i dobrowolna, by prawo wyznaniowe obowiązywało wyłącznie wiernych, a instytucje religijne były utrzymywane przez nich, a nie przez całe społeczeństwo. Jeśli niektórzy wierzący myślą inaczej, to złe sobie wystawiają świadectwo. □

Jan Hartman – ur. w 1967 r. we Wrocławiu, filozof i bioetyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, publicysta. Wydał m.in.: „Pochwała litości. Rzecz o wspólności”, Wydawnictwo UJ, Kraków 2017; „Polityka. Władza i nadzieja”, Wyd. Agora, Warszawa 2017.

Do naszych Czytelników, może nieco już sytych opowieści o bohaterach i bohaterkach zza naszej wschodniej granicy.

Teraz drukujemy kolejny odcinek tej sagi, w którym Autorka uprzytamnia nam parę jakże istotnych właściwości rewolucji. Czyni to w kontekście europejskim. Kolejny raz uzmysławia nam również, jak wielką rolę w kształtowaniu idei rewolucji rosyjskiej odegrały kobiety. A o bohaterce poniższej opowieści nie wiedzieliśmy przecież – w większości – prawie nic.

Red.

DANUTA STOLAREK

INESSA ARMAND – MUZA W. LENINA (CZERWONY TRÓJKĄT?)

Kim była najbardziej zagadkowa kobieta w historii sowieckiego bolszewizmu? Była osobą, o której najbardziej dociekliwi Rosjanie dowiedzieli się dopiero po otwarciu archiwów partyjnych w latach dziewięćdziesiątych XX. wieku. Jej nazwisko pojawiało się tylko w oficjalnych dokumentach partyjnych i niezorientowani nie domyślali się, że mowa o kobiecie. Pisano o niej „towarzysz Armand”. Sam W. Lenin nawet w prywatnej korespondencji zwracał się do niej per „Wy” lub „towarzyszu”. Nie tylko w jej przypadku mamy przykład retuszowania życiorysu.

Sami bolszewicy tworzyli swoje biografie „pod partyjną linię”. Przykładem może służyć trzecia uczestniczka „czerwonego trójkąta”, oficjalna żona W. Lenina – Nadieżda Krupskaja. W swojej książce przeznaczonej dla młodzieży „Moje życie” w żadnym z wydań (1925, 1930, 1938) nie wspomina, że była wnuczką carskiego oficera, z pochodzenia polskiego szlachcica z guberni wileńskiej Ignacego Krupskiego (syna Kaliksta) i córką wojskowego Konstantego Krupskiego, służącego w smoleńskim pułku piechoty, stacjonującym w Kielcach. Po upadku powstania styczniowego został on szefem powiatowego sztabu

wojskowego w Kielcach. Jego głównym zadaniem było przeprowadzenie reformy rolnej. Awansował do stopnia kapitana.

Po zakończeniu służby wojskowej został naczelnikiem powiatu grójeckiego. W każdym kolejnym wydaniu ojciec był coraz gorliwszym rewolucjonistą i internacjonalistą, ukaranym za obronę chłopów polskich i ubogich Żydów, internacjonalizm, znajomość języka polskiego, tańczenie mazurka, fascynację twórczością A. Mickiewicza i muzyką F. Chopina, (a nie na podstawie fałszywych oskarżeń urzędników carskich o nadużycie kompetencji). Przez Warszawską Izbę Sądową Krupski został pozbawiony możliwości zajmowania stanowisk państwowych. Po dymisji miał się przypadkowych zajęć, wkrótce zmarł.

Postać ikony rewolucji nie mogła być skażona jakimkolwiek romanssem, dlatego też do 1992 roku Rosjanie nie podejrzewali nawet, że „wódz światowego proletariatu” mógł ulegać jakimś przyziemnym uczuciom. Archiwa partyjne były szczelnie zamknięte, korespondencja prywatna starannie wyczyszczona i oceniana. Sam Lenin w swoim archiwum zamieścił 38 listów do Inesy Armand; wszystkie dotyczyły wyłącznie spraw partyjnych, w żadnym

nie było nawet aluzji do więzi osobistych. O naszej bohaterce więcej dowiadujemy się ze źródeł zagranicznych niż rosyjskich. Wielu do dziś stanowczo zaprzecza, że istniały jakieś więzi intymne, akcentując wyłącznie „służenie dziełu rewolucji i partii”.

Również Inessa Armand miała dwie wersje życiorysu: tzw. burżuazyjną i proletariacką. Jej przodkowie ze strony matki przybyli z Anglii w połowie XVIII wieku (w innej wersji byli zruszczonymi Francuzami). Jej matka Natalia Wild (w wersji „burżuazyjnej” – Żydówka) uciekła z Rosji do Paryża, tam poznała śpiewaka operowego Theodora Stephano. Inessa była nieślubnym dzieckiem, rodzice zalegalizowali związek w obrządku anglikańskim dopiero po urodzeniu córki.

Urodziła się 8 maja 1874 roku w Paryżu. W rosyjskich źródłach czasami podaje się 1875 r). Rodzice zabierali dzieci na wszystkie spektakle, tournée. Od wczesnego dzieciństwa poznała styl życia bohemy. Sytuacja finansowa rodziców nie była stabilna. Aby polepszyć sytuację finansową rodziny jako pięcioletka opuszcza Paryż i wraca do Rosji pod opiekę babki i ciotki. W mię-



dzyczasie w rodzinie Stephano przychodzą na świat jeszcze dwie córki. Ojciec zmarł w wieku 24 lat (w innych źródłach wspomina się, że zmarł młodo, bez podania wieku), matka nie zrobiła kariery jako aktorka i utrzymywała się z lekcji śpiewu, nie była w stanie utrzymać trzech córek.

W innej wersji dopiero po śmierci ojca pięcioletnia Inessa musiała opuścić Paryż i wrócić do Rosji; według innych źródeł przyjechała wraz z siostrą René, która w przyszłości wyjdzie za mąż za młodszego syna Armandów Nikołaja. W wersji proletariackiej utrzymywała je babcia z renty po profesorze. Babcia też była nauczycielką, razem z ciotką (siostrą matki) zapewniły wnuczce staranne wykształcenie. Inessa znała cztery języki obce, znakomicie grała na fortepianie, bardzo dużo czytała. Ciotka często zabierała ją do zamożnych domów, w których udzielała lekcji francuskiego i muzyki.

Według bardziej prawdopodobnej wersji ciotka, będąca nauczycielką języka francuskiego, muzyki i śpiewu, była wyjątkowo utalentowana muzycznie; porównywano ją ze Światosławem Richterem. Wówczas pracowała w domu bogatych, postępowych i szczodrych przemysłowców Armandów, zamieszkała tam wraz z siostrzenicą. Rodzina tych bogatych przemysłowców, właścicieli dóbr ziemskich, domu handlowego „Armand i synowie” oraz kamienic czynszowych, bardzo życzliwie przyjęła ją do wielopokoleniowego klanu Armandów, zamieszkałych w Puszkino pod Moskwą.

Według źródeł rosyjskich byli to zruszczeni Żydzi francuscy, według innych Francuzi, których przodkowie przybyli do Rosji w połowie XVIII wieku. Są wzmianki, że mimo iż babka i ciotka nie były osobami zamożnymi – były przyjmowane wśród śmietanki towarzyskiej, głównie w enklawie francuskiej. Zarówno babka jak i ciotka starały się dać jej staranne wykształcenie. Dbaly o właściwy dobór lektur, właściwy dla arystokratki. Bardzo

chciały, aby w przyszłości została świetną nauczycielką i dobrze wyszła za mąż.

W rodzinie Armandów korzystała z bogatej biblioteki. Wtedy poznała utwory min. N. Niekrasowa, F. Dostojewskiego, N. Czernyszewskiego, L. Tołstoja. Ten ostatni rozczarował ją lekceważącym (jej zdaniem) stosunkiem do kobiet. Natomiast wielkie wrażenie zrobiła na niej powieść Czernyszewskiego „Co robić?“, która w przyszłości będzie jej inspiracją do walki o prawa kobiet.

Po śmierci babki zamieszkała z matką, która po śmierci męża wróciła z dwiema córkami do Moskwy. Uzyskała dyplom nauczycielki. Słynęła z urody. Piękne kasztanowe włosy z rudym odcieniem upinała w misterne fryzury. Jej zielone oczy z błękitnym odcieniem rzucały uwodzicielski blask, piękną figurę odziewała w wyszukane, eleganckie stroje, wdzięku dodawały zawsze starannie dobrane wytworne perfumy. Gdy ukończyła 19 lat, przeszła na prawosławie, oficjalnie przyjęła imię Jelizawiey Fiodorowny i wyszła za mąż za najstarszego syna Armandów, Aleksandra.

Po ślubie z wielkiego domu rodziny Armandów młodzi małżonkowie wyprowadzili się do pałacu w Jeldiginie. W związku urodziło się czworo dzieci. W Jeldiginie nasza bohaterka postanawia otworzyć szkołę dla dzieci chłopskich, w której też naucza sama, prowadzi działalność filantropijną, popularną wówczas wśród rodzin arystokratycznych. Tam też poznaje warunki życia biedoty wiejskiej.

Mimo przeprowadzki często bywa w Moskwie. Rodzina miała tam duże mieszkanie w centrum Moskwy na Arbacie. Bywa w salonach, w teatrach, na koncertach, poznaje środowisko artystyczne, literackie. Wśród bywalców w jej salonie są malarze, aktorzy, intelektualisci, a także zwolennicy idei rewolucyjnych.

W 1902 roku zakochała się w o jedenaście lat młodszym bracie męża, siedemnastoletnim Władimirze, wówczas studen-

tem zaangażowanym w ruch rewolucyjny. W dniu ich ślubu miał osiem lat. Inessa i Władimir zamieszkali w Moskwie. Rodzina i przyjaciele uważali go za podobnego do Aloszy Karamazowa (jednego z bohaterów powieści F. Dostojewskiego *Bracia Karamazow*), ze względu na jego charakter. Był on zafascynowany ideami rewolucji, przekonany socjaldemokratą.

Z tego związku urodził się syn Andriej. Inessa urodzić postanowiła w Szwajcarii, dokąd udała się ze swoimi dziećmi, ale bez Władimira, aby uniknąć skandalu towarzyskiego. Zerwanie z mężem odbyło się w życzliwej atmosferze, oficjalnego rozwodu nie było, mąż zawsze wspierał ją finansowo, opiekował się dziećmi, pomagał w każdej sytuacji, kiedy pomoc była potrzebna. Postępowa Rodzina Armandów przyjęła to ze zrozumieniem; Aleksander uznał Andrieja za swojego syna.

W Szwajcarii zafascynowała się marksizmem, ideami rewolucyjnymi, dużo czytała literatury politycznej. W 1904 roku wróciła do Moskwy z wielkim bagażem nielegalnej literatury. W tym też roku (według innej wersji w 1903 r.) wstąpiła do Rosyjskiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, bliska jej była frakcja eserów. Wraz z grupą skupioną wokół Władimira coraz aktywniej uczestniczy w działalności organizacjach rewolucyjnych.

W 1903 roku przeczytała pracę W. Lenina *Rozwój kapitalizmu w Rosji*. Idee rewolucji były jej coraz bliższe, podobno wówczas marzyła o poznaniu autora dzieła. Pierwsze aresztowanie Inessy i Władimira ma miejsce w 1905, roku za przechowywanie nielegalnej literatury. Wówczas dzięki staraniom męża Aleksandra wychodzi po trzech miesiącach. Po wyjściu z więzienia wyjechała z Władimirem (miał on pierwsze objawy gruźlicy) na leczenie do Europy.

Wrócili do Rosji w 1906 roku. Inessa nadal zajmuje się działalnością rewolucyjną, organizuje kółka rewolucyjne, prowadzi propagandę. Kolejne aresztowanie ma

miejsce w 1907 roku; osadzona w więzieniu Lefortowo. Nawet tam nie zaprzestała aktywności politycznej, uczyła aresztantki języka francuskiego i podstaw marksizmu (podkreślano ten fakt w literaturze bolszewickiej). We wrześniu 1907 roku skazano ją na dwa lata zesłania do guberni archangielskiej do miejscowości Mieżen. Na dworcu Jarosławskim pełna troski żegna ją cała rodzina Armandów.

Mąż Aleksander opiekuje się dziećmi, posyła pieniądze Inessie i Władimirowi, który dobrowolnie towarzyszy jej na zesłaniu, mimo przeciwwskazań zdrowotnych. Na drugą zimę z powodów zdrowotnych nie może z nią zostać i wyjeżdża na leczenie do Europy.

W literaturze sowieckiej akcentuje się jej działalność agitacyjną na zesłaniu. Po roku zsyłki (20 października 1908 roku), udaje się jej uciec z miejsca zesłania na podstawie sfałszowanych dokumentów. Udało jej się wmieszać w grupę Polaków, zesłańców po powstaniu styczniowym, którym skończył się termin zesłania syberyjskiego i na podstawie sfałszowanego polskiego dokumentu opuścić Imperium Rosyjskie, do którego postanowiła nie wracać.

Kiedy otrzymała wiadomość o krytycznym stanie zdrowia Władimira – nielegalnie przekracza granicę i przez Finlandię i Szwecję udaje się do Nicei. Tam zastaje go już w agonii. Po dwu tygodniach Władimir zmarł. Ich związek trwał siedem lat.

Wyjechała do Francji, później do Belgii, tam studiowała ekonomię, uzyskała stopień licencjata. Poznała wielu rewolucjonistów przebywających na emigracji w Brukseli. Później wróciła do Paryża i zaczęła studiować nauki społeczne na Sorbonie. Jej dzieci cały czas pozostawały po opieką byłego męża Aleksandra.

Znajomość z Leninem – kiedy naprawdę miała miejsce? Według zachodnich źródeł w 1910 roku w jednej z paryskich kawiarni, w której zbierali się emigranci o lewicowych poglądach, według rosyjskich 23

października 1909 r. na XI Sesji Międzynarodowego Biura Socjalistycznego w Brukseli.

Lenin słabo znał język francuski i podczas spotkań z działaczami francuskimi potrzebował tłumacza z biegłą znajomością języka. Zaczął zapraszać ją na wszystkie ważne spotkania oraz włączać ją do grona uczestników. Inessa stała się niezastąpiona; tym bardziej, że była osobą niezwykle pracowitą. Prowadziła obszerną korespondencję z zagranicznymi biurami bolszewickimi, nawiązywała kontakty z francuskimi socjalistami.

Jak podaje źródło rosyjskie, wkrótce Lenin i Krupka przeszli z nią na „ty”, co było rzadkością, przecież Lenin do wszystkich zwracał się na „wy”; na „ty” tylko do matki, i siostr. Uljanowowie nigdy nie nosili obrączek, uważali to za przeżytek burżuazyjny. Obydwoje przyjaźń z Inessą wyjaśniają tym, że tak bliskie relacje były spowodowane „koniecznością partyjną” i jednością zainteresowań. Nic osobistego, pełny pragmatyzm partyjno-polityczny.

W 1909 Aleksander Armand na jej prośbę przewiózł dzieci do Brukseli. Nadal pozostawał oddanym przyjacielem Inessy, mimo że nie było mowy o ich ponownym zbliżeniu. Aleksander ożenił się po raz drugi dopiero po śmierci Inessy i przeżył ją o 23 lata.

Inessa coraz aktywniej włącza się w działalność partyjną. W 1911 roku w miasteczku Longjumeau pod Paryżem została zorganizowana szkoła partyjna dla osiemnastu słuchaczy, przyszłych rewolucjonistów. Słuchacze udają rosyjskich pedagogów, niemających nic wspólnego z polityką. Inessa prowadziła tam seminarium z ekonomii politycznej i ruchu socjalistycznego w Belgii. Wśród słuchaczy znalazł się tajny współpracownik ochrony Wasyl, któremu Lenin ufał bezgranicznie i nie wierzył w żadne ostrzeżenia. Wśród wykładowców byli m. in. A. W. Łunaczarski, Zinowiew, Lenin, Ordżonikidze, Kamieniew i inni działacze.

Dla Inessy nastąpił nowy etap relacji z W. Leninem. Zauważają to nawet słuchacze i wykładowcy. Coraz częściej udają się na długie spacery, coraz więcej czasu spędzają na rozmowach, przejażdżkach na rowerach. Mimo że Nadieżda Krupska stwarza pozory tolerancyjnej, opuszcza wspólny pokój z Leninem i przenosi się do pokoju matki, która w ośrodku pełniła funkcję kucharki.

Matka jest oburzona zachowaniem Inessy i bierną postawą córki. Żąda, aby zajęła stanowcze stanowisko. Krupska chcąc zachować status jedynej kobiety Lenina nie tylko milcząco ustępuje miejsca Inessie, ale demonstruje przyjaźń z nią. W swoich pamiętnikach imię Inessy wymieniła 130 razy, zawsze z szacunkiem. Używała określeń „przyjaciółka rodziny”, „wierna współbojowniczką”, „zdecydowana rewolucjonistka” itp.

Inessa nie ma poczucia winy ani też rywalizacji z Nadieżdą. Jej życie osobiste zawsze charakteryzowało się swobodą i nonkonformizmem. Uważała, że walka o rewolucję oznacza też walkę z konwensansami i więzami moralności społecznej. Zachowuje się swobodnie i ulega nowemu uczuciu. Nadal uważa się za przyjaciółkę Nadieżdy Krupskiej.

Kurs skończył się pod koniec sierpnia 1911 roku. Słuchacze wrócili do Rosji, Lenin z N. Krupską i Inessą do Paryża. Inessa wynajmuje mieszkanie blisko (dwadzieścia kroków) od mieszkania Uljanowów. Inessa z trójką dzieci i N. Krupska, jej matka i Lenin stanowią prawie rodzinę; jak stwierdzi N. Krupska „swoją małą świątek”. Dzieci w tej rodzinie czuły się bardzo swobodnie, mówiły „ciocia Nadia”, „wujek Wołodia”. Uljanowowie jej dzieci traktowali jak własne.

Inessa i Nadieżda nadal współpracowały. Inessa nie budziła w niej takiej niechęci jak Aleksandra Kołontaj, czy Andżelika Bałabanowa. Nigdy nie krytykowała jej za wygląd („zbyt elegancki jak na bolsze-

wiczkę”), zachwycała się jej stylem i urodą. Inessa odnosiła się do niej z szacunkiem, doceniała jej miłość do swoich dzieci.

W rodzinie Ujanowów po napięciach w Longjumeau zapanował spokój. N. Krupska przekonała się, że mąż nie zostawi jej i nie zrobi nic, co mogłoby zaszkodzić jego roli i wizerunkowi w polityce. Lenin zaś uważał, że zostawienie żony dla młodej, atrakcyjnej kochanki byłoby postępkami zbyt burżuazyjnym, który mógłby zepsuć jego wizerunek niezłomnego przywódcy proletariatu.

Współpraca między Leninem a Inessą układała się coraz lepiej. Ich relacje były coraz bardziej poufale. Ona w lot chwytala jego myśli i zamierzenia. Łatwo rozwiązywali trudne problemy. Inessa nawiązuje kontakty, wykonuje tzw. „brudną robotę” – operacje polityczne wymagające bezstronności, a nawet brutalności, załatwia z kołbiącym i arystokratycznym wdziękiem.

Została przewodniczącą grupy i jej zadaniem było utrzymanie kontaktów z bolszewikami mieszkającymi za granicą, a nie tylko tłumaczenie artykułów Lenina i sortowanie korespondencji. Udzielała mu rad, łagodziła jego impulsywność. Za przykład może posłużyć pogrzeb małżonków Lafargue (córki Marksa Laury i jego zięcia Paula) wskutek samobójstwa. Lenin szalał ze złości, krzyczał, że to nikczemność – „są żywi potrzebni rewolucji, ich ucieczka z życia jest nikczemnością”. Mowę pożegnalną wygłosiła Inessa.

W styczniu 1912 roku Lenin po raz trzeci był w Pradze. Ostatni pobyt był związany z VI Praską konferencją RSDPR, na której Inessa została mianowana sekretarzem Komitetu Partii Zagranicznych. Wiosną 1912 r. na polecenie Lenina wyjeżdża do Rosji z fałszywym paszportem na nazwisko polskiej chłopki Franciszki Jankiewicz, córki Kazimierza. Jej zadaniem jest przekazanie przy pomocy N. Kirylenko rękopisu Lenina do gazety „Prawda”, niechętniej Leninowi, oraz odbudowanie rozbitej niedaw-



no partyjnej komórki petersburskiej. Przez Kraków, Lublin i Charków Inessa dotarła do Petersburga.

Podróż była bardzo ryzykowna, ponieważ po ucieczce z zesłania policja nadal jej poszukiwała. Dla Lenina nie miało to znaczenia. Wybory do odtworzonej organizacji miały się odbyć 16 września, a czternastego Inessa i jej przewodnik Safronow zostali aresztowani na sześć miesięcy. Dzięki wpłacie kaucji 5400 rubli (na owe czasy kwoty bardzo wysokiej) przez byłego męża Aleksandra Armanda warunkowo wyszła na wolność.

Stan jej zdrowia na wolności nieco się poprawił. Postanowiła z Aleksandrem i dziećmi odbyć rejs po Woldze do Stawropola Kaukaskiego. Radość z wycieczki cały czas przesłania jej obawa zesłania.

W tym czasie Lenin i Krupska przenoszą się do Poronina. Do nich dołączają Zinowiew z rodziną i Kamieniew. Nad Inesą wisi groźba procesu. Termin nadzoru policyjnego skończył się 6 sierpnia 1913 roku. Postanowiła, nie czekając na proces, zostawić dzieci pod opieką męża w Puszkino i przez Finlandię, Szwecję i Niemcy przyjechać do Poronina 22 września. Zamierzała zaprosić dzieci do Krakowa, którym była zachwycona. Później rezygnuje z pomysłu.

W Poroninie oboje z Leninem są w znakomitych nastrojach, odbywają wiele spacerów. Towarzysze partyjni ich krytykują,

że zachowują się jak para zakochanych nastolatków. Często gra na fortepianie ulubione utwory Beethovena.

Krupska ma poważne kłopoty ze zdrowiem, jest coraz bardziej drażliwa. W 1913 r. w celu przeprowadzenia operacji tarczycy Lenin i Krupska wyjeżdżają do Szwajcarii. Tam w Bernie Krupska poddaje się operacji, stopniowo jej zdrowie się polepsza. W sierpniu wracają do Poronina. Romans Inessy i Lenina nabiera nowych barw, nawet nie próbują ukrywać swoich uczuć. Zauważa to Krupska, choć nadal pozostaje życzliwa dla Inessy. Zmienia się też jej status w partii, już nie jest tylko zaufaną osobą Lenina, jego sekretarką, tłumaczką i osobą do różnych poruczeń. Lenin ma wiele zadań partyjnych dla niej.

Poleca jej pilny wyjazd do Paryża. Tam wraz z Ludmiłą Stal zorganizowała wydanie czasopisma dla kobiet rosyjskich «Работница» Część redakcji była w Paryżu, część w Petersburgu i część w Krakowie. Pierwszy numer wyszedł w lutym 1914 roku, później jeszcze sześć numerów, z czego trzy skonfiskowano.

Już w 1914 roku Lenin kreował się na ikonę nieskazitelnego przywódcy rewolucji. Zażądał od Inessy osobistego dostarczenia wszystkich listów pisanych do niej, zakazał przesyłania listem poleconym, w obawie, że któryś z towarzyszy może otworzyć kopertę, a przecież ludzkie słabości – takie

jak miłość czy romans – nie mogły położyć się cieniem na nieskazitelnym wizerunku.

Jak bardzo jego decyzja o zerwaniu ich romansu była dla niej ciosem, świadczy zachowany w osobistym archiwum list Innesy do niego: „Rozstaliśmy się, mój drogi ze sobą, rozstaliśmy! Jak bardzo to boli! Wiem, czuję, że ty nigdy tu nie przyjeździesz! Patrząc na dobrze znane miejsca, wyraźnie uświadamiałam sobie, jak nigdy wcześniej, jak wiele miejsca tu, jeszcze w Paryżu, zajmowałaś w moim życiu, że prawie cała działalność tutaj, w Paryżu, była ściśle tysiącami nici związana myślą o tobie. Wówczas nie byłam w tobie zakochana, ale i wówczas bardzo cię kochałam. I teraz obeszląbym się bez twoich pocałunków, aby tylko cię zobaczyć, czasami porozmawiać, co sprawiłoby mi wielką radość, i to nie sprawiłoby nikomu bólu. Dlaczego mnie tego pozbawiłeś. Pytasz, czy złoścę się na ciebie, że doprowadziłeś do rozstania. Nie, sądzę, że zrobiłeś to nie ze względu na siebie... Mocno cię całuję... Twoja Inessa?”. Dalej wyraża obawy, czy dochodzą do niego jej listy, ponieważ nie otrzymuje odpowiedzi.

Latem 1914 r. Inessa z czwórką dzieci, których nie widziała ponad rok, wypoczywała nad brzegiem Adriatyku w Lovran, bardzo źle się czuła, była bardzo zmęczona lawiną poleceń partyjnych, próbuje odmówić. Lenin wpadał w szał, żąda, aby znalazła opiekunkę dla dzieci i natychmiast udała się do Brukseli na posiedzenie Komitetu Wykonawczego II Międzynarodówki. Inessa przez Włochy wysłała dzieci do Anglii, a stamtąd do Rosji do Archangielska.

Konferencja była poświęcona znalezieniu wspólnej platformy dla rosyjskich socjaldemokratów. Lenin nie tylko nie chciał tej jedności, ale też chciał uniknąć oskarżeń, krytyki, ale bardzo chciał, by było zaprezentowane jego stanowisko i warunki zjednoczenia. Uznał, że właśnie Inessa wykona jego zadanie, a on uniknie wszelkiej krytyki i wyjaśnień.

Było to dla niej trudne zadanie, ale bezwzględny Lenin żądał ślepego posłuszeństwa. Po konferencji w Brukseli postanowiła pojechać do Rosji. Przeszkodził w tym wybuch pierwszej wojny światowej. Wróciła do Francji, odmawia przyjazdu do Poronina, przestaje odpowiadać na listy Lenina, który jest zdziwiony i wzburzony taką nie-subordynacją.

W sierpniu 1914 roku Lenin i N. Krupka opuszczają Galicję i udają się do neutralnej Szwajcarii. Na kateryczne żądanie Lenina Inessa ma opuścić walczącą Francję i przyjechać do neutralnej Szwajcarii do Berna. Najpierw zatrzymała się w Montreux, później w pobliżu Diestelwegu, gdzie zamieszkali Lenin i Krupka. Tam odtworzyli poprzedni styl życia, jeździli na pikniki, odbywali długie spacerunki po okolicy, pomagali sobie w pracy. Często wspominali Kraków i Poronin. Inessa znów prowadzi korespondencję Lenina, tłumaczy na język francuski i angielski różne dokumenty partyjne, dobiera materiały do publikacji, prowadzi rozmowy z działaczami partyjnymi.

Przeżywa stres z powodu braku kontaktu z dziećmi, za którymi bardzo tęskni. Coraz bardziej ciąży jej rola trzeciego członka rodziny i współpraca z Leninem. Wraca myślami do swojej fascynacji feminizmem, coraz częściej zastanawia się nad rolą i nowymi zadaniami dla kobiet w partii i kraju, który zamierzają zbudować bolszewicy. Robi wiele notatek, ma świadomość, że bolszewicy lekceważą sprawy feminizmu. Postanawia napisać książkę na temat „spraw kobiecych”. W 1915 roku ku zdziwieniu Lenina i Krupskiej wyjeżdża do Bogis (naprzeciwko Jeziora Genewskiego), prowadzi samotnicze życie i pisze broszurę na ten temat; jej szkic przesyła Leninowi.

Lenin poddał ją ostrej krytyce, zanełował samą ideę wolnej miłości, zdyskredytował wszystkie jej argumenty, zażądał usunięcia najistotniejszych dla niej fragmentów, zarzucił jej burżuazyjny punkt wi-

dzenia. Po tym liście pożegnała się z nadzieją na jego zrozumienie dla jej poglądów, oszukana w swoim zaufaniu do niego. Dalsza listowna wymiana stanowisk nie doprowadziła do kompromisu. Broszura nigdy nie została opublikowana.

Lenin natarczywie domagał się spotkania, Inessa uchylała się od propozycji. Nie zawsze odpowiada na jego listy, albo po długim czasie. Lenina irytuje, że spotyka się z ludźmi z kręgu Bucharina i bolszewikami z jego kręgu, zamiast pracować dla niego. Jej poglądy na sprawy kobiet uznał za chorobliwe, burżuazyjne odchylenie. Jego zdaniem stosunki seksualne i miłość należy trzymać jak najdalej od spraw rewolucji. Podobne zarzuty stawia Aleksandrze Kołontaj, Klarze Zetkin, Róży Luksemburg. Uważa, że kobiety należy zorganizować w kolektywy przemysłowe, dać im odpowiedzialność, bolszewicką prasę i zaangażować do wspólnej walki o dzieło rewolucji.

W Inessie budzi się duch działaczki. Porzuca samotnię w górach, lato spędza w Sonnenbergu. Zamieszkała w tym samym hotelu co Lenin i Krupska. Przed przyjazdem otrzymała długą listę poleceń od Lenina, dostarczyła zamówione książki, koperty i inne materiały biurowe niezbędne do pracy. Mimo że mocno doskwiera jej tęsknota za dziećmi, przystępuje do intensywnej pracy, pisze wiele listów, w tym też do córki Inny.

W marcu w Bernie odbyły się trzy konferencje socjalistyczne, a „towarzysz Armand” (tj. Inessa) po raz pierwszy wypowiada się przeciwko manifestowi Lenina o utworzeniu „Stanów Zjednoczonych Europy”. Twierdzi, że jest to przedwczesne i niewłaściwe, argumentuje, że kraje europejskie prowadzą wojnę, między nimi istnieją konflikty interesów, zarówno politycznych jak i ekonomicznych, zjednoczenie nie jest możliwe.

Inessa napotyka przestraszone spojrzenia bolszewików, którzy odbierają to jako zarzut pod adresem Lenina o brak

wystarczającego realizmu, on zaś oskarża ją o anarchizm. Do awantury nie doszło (przemilczała zarzut), ale w ostatecznej redakcji manifestu konferencji (redagowała z Leninem i Zinowiewem) sformułowania o „Stanach Zjednoczonych Europy” nie było. W następnej konferencji, w której przygotowanie włożyła wiele wysiłku, pozostała w cieniu. Bolszewików reprezentowali wyłącznie Lenin i Zinowiew. Poczuli się dotknięci, ale dyscyplina partyjna wzięła górę.

Między nią i Leninem mnożą się nieporozumienia. Mimo to Lenin powierza jej trudną i niewykonalną misję – ma udać się do Francji z fałszywym paszportem i przekonać francuskich socjalistów do słuszności bolszewików. Misja niewykonalna, ale Lenin nigdy nie zmienia zdania. Mimo ryzyka i trudności Inessa podejmuje się zadania. Wie, że Lenin o niepowodzeniu zawsze oskarża innych. Na kolejnej konferencji Międzynarodówki Socjalistycznej, mimo że jest delegatką, Lenin zakazuje jej wystąpienia. Jej udział ograniczył się do przekładu wystąpień Lenina i Zinowiewa.

Tego roku nie spędza lata z Leninem i Krupską, a z rodziną Zinowiewa. W listopadzie przeprowadza się do Clarens-Montreux w pobliżu Bogis. Lenin nadal wymagał od niej partyjnej dyscypliny i ślepego posłuszeństwa, błyskawicznego tłumaczenia swoich artykułów, spotkań z wrogimi jej ludźmi (z którymi sam nie chciał się spotkać, a byli mu potrzebni). Nie przyjmował do wiadomości żadnych sprzeciwów, histerycznie reagował nie tylko na krytykę z jej strony, ale nawet na jej wątpliwości. Nawet jej milczenie na histeryczne ataki wywoływało jego furię. Na wieść o rewolucji lutowej Lenin zaczął gorączkowo poszukiwać możliwości dostania się do Rosji. Pomysł miał wręcz absurdalny, wszelkimi sposobami próbował zaangażować Inessę w ich realizację.

Tymczasem jej myśli krążyły wokół jej dzieci, których dawno nie widziała. Wpra-

wia ją to w głęboką depresję. Uświadamia sobie, że zbyt wiele czasu, energii i uczuć poświęciła Leninowi i partii. Nastąpił okres podsumowań. Nic z jej idei, które ją przywiodły do tego środowiska nie zostało zrealizowanych, wszystkie jej pomysły poddało druzgocącej krytyce. Nareszcie pojawia się szansa powrotu do Rosji. Na tę podróż decyduje się w ostatniej chwili.

Oferta przejazdu ze strony wrogich Niemiec jako organizatora wyjazdu była dla niej odrażająca, ale Lenin jako cyniczny gracz wykorzystywał każdą okazję do realizacji swoich planów. Aby uniknąć oskarżeń o współpracę z wrogiem Inessa z Leninem redagują umowę z francuskimi, szwajcarskimi i niemieckimi socjaldemokratami, którą później ona tłumaczy na języki francuski i niemiecki; odczytuje ją przedstawicielom socjaldemokratycznych partii europejskich.

Wszyscy zgadzają się na przejazd we wrogim, niemieckim eszelonie do Rosji. Zaplombowany wagon konwojowali dwaj niemieccy oficerowie. Było w nim 32 pasażerów – w tym dwoje dzieci – oraz kierownictwo rosyjskiej socjaldemokracji działające na emigracji. W pociągu snuła plany na życie w Rosji, że zajmie się dziećmi,

zrealizuje swoje plany i idee, będzie z daleka trzymać się od Lenina. Ma świadomość, jakie jest nastawienie do niej bolszewików z jego otoczenia. Dochodzi do wniosku, że przeszłość należy pogrzebać.

W Petersburgu na dworcu fińskim witała ich z kwiatami m.in. A. Kołontaj. Po entuzjastycznym powitaniu Lenina i delegacji Inessa szybko zmienia zdanie. Już po kilku dniach udaje się do Moskwy, aby zaprezentować tezy kwietniowe Lenina aktywni partyjnemu.

Doświadczona rewolucjonistka całkowicie poświęca się pracy politycznej. Między nią a Leninem znów panuje harmonijna współpraca. Broni go przed atakami bolszewików, którzy „Tezy kwietniowe” uznali za zbyt radykalne. W maju 1917 roku uczestniczy w mityngu przygotowującym kongres kobiet rosyjskich, organizowany przez Ligę Równości, żądającą udziału kobiet w wyborach do Zgromadzenia Konstytucyjnego. W czerwcu kobiety zdobyły prawo uczestnictwa w wyborach do Dumy Moskiewskiej; później zostaje delegatką na VI zjazd partii.

Życie dzieli między Moskwą a Puszkino, gdzie pochłania ją troska o zdrowie najmłodszego syna Andrieja, u którego po-



Inessa z Dziećmi

dejrzejewają gruźlicę. Dwóch starszych synów zmobilizowano do Armii Czerwonej. Jej były mąż podjął pracę jako „ekspert burżuazyjny” w byłych swoich zakładach włókienniczych w Aloszynie. Po burzliwych miesiącach we wrześniu bolszewicy uzyskują większość w Piotrogradzie i w Moskwie. Poparli ich marynarze z Kronsztadu. W październiku Lenin powrócił z Finlandii.

Po październiku 1917 roku Inessa dystansuje się od Lenina. Należy do lewicowej grupy (dzięki Bucharinowi), jest przeciwna zawarciu pokoju brzeskiego. Jako zdecydowana internacjonalistka jest przekonana, że proletariatu nie ma ojczyzny, nie ma sprawiedliwych wojen, rewolucja światowa jest możliwa tylko w interesie proletariatu. Nie zgadza się z wieloma przedsięwzięciami nowej władzy – zarówno politycznymi jak i ekonomicznymi, uważa, że przeczy to zasadom rewolucji.

Mimo tych istotnych różnic po ich ponownym zbliżeniu nie wywołują one istotnych napięć i konfliktów między nimi. Lenin jest pewny, że mimo różnicy zdań Inessa nie wyrządzi mu krzywdy.

Rewolucja zwyciężyła, w marcu 1918 roku Lenin przenosi siedzibę rządu do Moskwy. Znowu Lenin i Inessa są w jednym mieście. Lenin proponuje Inessie zamieszkanie na Kremlu. Kiedy odmówiła, żąda, by znaleziono jej mieszkanie jak najbliżej Kremla. Znaleziono je przy ulicy Mochowoj, około 20 minut pieszo od Kremla. Po zamachu, kiedy Lenina przywieziono na Kreml, zażądał, aby natychmiast przybyła Inessa; przysłała z córką Warwarą, Aby mogli zostać sami, Nadieżda prosi córkę – pod pretekstem pokazania zdjęć – do innego pokoju. Fala poprzednich uczuć znowu napłynęła.

Nadieżda Krupska, mimo że tyle lat z pokorą znosiła swój status oficjalnej żony wodza światowego proletariatu, poczuła się mocno dotknięta. Tym bardziej, że (jej zdaniem) z partyjnego punktu widzenia sta-

tus oficjalnej żony był niezbędny. Z bólem przyjmuje, że Lenin jest znowu z Inessą. Bardzo ją to zraniło. Zamieszkała w niewielkim pokoju przy szkole, w której pracowała, na drugim końcu Moskwy, w dzielnicy Sokolniki.

Kiedy Lenina w celu pełnej rekonwalescencji – po zamachu dokonany przez F. Kapłan pod zakładami Michelsona w Moskwie – przeniesiono do wsi Gorki, ku zdumieniu wszystkich nie pojechała za nim; pozostała w pokoiku w Sokolnikach, choć wiedziała, że bardzo jej potrzebuje. Z gorąco wspominała lata zesłania na Syberię (gdzie udała się dobrowolnie), emigrację do Europy, koczowanie po różnych jej zakątkach, ciężką pracę dla partii, wielką odpowiedzialność, ciągłe obawy i ataki na Lenina ze strony przywódców różnych frakcji. Odbierała to bardzo osobiście. Uświadomiła sobie, że Inessa nigdy nie zniknie z życia Lenina, ale zaufała historii. Wierzyła, że przejdzie do niej jako nie tylko jedyna żona ale i najwierniejszy towarzysz wodza światowego proletariatu, a o Inessie szybko zapomną i wykreślą z annałów.

Lenin nie tylko nie zapomniał o Inessie, ale całkowicie był pod jej urokiem. Kiedy jej nie widział, ciągle wydzwaniał. Kurierzy często biegali z liścikami do niej, mimo że mieszkała tak blisko. Kiedy na Kremlu zainstalowano telefony, Lenin zażądał zainstalowania bezpośredniej linii z Inessą, aby nie łączyć się z nią za pośrednictwem telefonistki. Znowu mogą w każdej chwili rozmawiać, spotykać się.

Mimo, że wojna się zakończyła, we Francji pozostało ponad 45 tysięcy żołnierzy rosyjskich wysłanych przez cara sojuszniczemu krajowi. Francja nie zamierzała oddać ich bolszewikom, którzy zamierzali wcielić ich do Armii Czerwonej. Powołano misję Czerwonego Krzyża, która powinna była doprowadzić do ich repatriacji. Inessa znalazła się w składzie delegacji.

Misja była delikatna. Obie strony wiedziały, że aspekt humanitarny był tylko pre-

tekstem, było wiele tajnych poleceń ze strony sowieckiej. Inessa niechętnie zgodziła się na udział w misji. Zbyt często dla spraw służbowych zostawiała dzieci. Niepokoila się też o pogarszające się zdrowie Lenina, jego silne bóle głowy i stan nerwów.

Misja zakończyła się kompletną klęską. Nie udało się nawiązać kontaktu z najbardziej radykalną częścią Socjalistycznej Partii Francji, ani też zaprezentować pozytywnego wizerunku państwa bolszewickiego i doprowadzić do złamania izolacji Sowieckiej Rosji. Po przybyciu do Dunkierki Rosjan wzięto do niewoli, skonfiskowano im ruble przeznaczone na ewakuację żołnierzy.

Inessa spędziła w więzieniu trzy miesiące. Nie udało się jej zbiec do Paryża. Żołnierzy odesłano do Odessy, następnie zostali zrekrutowani przez białogwardystów. Nie było żadnych szans na propagandową agitację wśród nich.

Inessa wróciła zmęczona i przygnębiona widokiem tego, co stworzyła rewolucja, która miała wszystko zmienić, uszczęśliwić ludzi a wokół widzi głód zarówno w miastach jak i na wsiach. Z obietnic Lenina: chleb, ziemia, pokój nie zostało nic. Nie zauważa żadnych pozytywnych zmian, stwierdza, że jest gorzej niż przed rewolucją. Nie działa zdeorganizowany transport, panuje bezrobocie wśród mężczyzn wracających z frontu. Trwa wojna domowa, w całym kraju wybuchają powstania chłopskie, powołana CzK jest bardziej bezwzględna niż carska „ochrana”. Lenin zaistniałą sytuację traktuje jako nieuchronną, domaga się jeszcze bardziej restrykcyjnych środków. W duchu narasta jej rozczarowanie dotychczasową działalnością, choć nigdy nie wyraża tego publicznie.

Po powrocie z Francji otrzymała nowe zadanie. Ma stanąć na czele nowoutworzonego Wydziału do Spraw Kobiet. Teraz może samodzielnie podejmować decyzje, wydawać dekryty. Wielu badaczy tego okresu stwierdza, że był to jeden z najam-

bitniejszych kroków w kierunku emancypacji kobiet uczynionych przez rząd. Znalazła się na szczytach władzy bolszewickiej. Wielu uznało ją za najbardziej wpływową kobietę w Rosji.

Wbrew jej oczekiwaniom większość bolszewiczek działalność na rzecz emancypacji traktuje jako obniżenie ich partyjnej pozycji. Lenin tym razem docenia rangę problemu i upatruje w tym korzyść dla partii. Co prawda, po rewolucji lutowej były już dozwolone śluby cywilne. Kobiety po wyjściu za mąż mogły pozostać przy swoim nazwisku. Dzieci pozamałżeńskie zrównano w prawach z dziećmi urodzonymi w związku małżeńskim.

Niewątpliwie był to postęp, ale po 1918 roku kobiety najbardziej dotykało bezrobocie i głód. Bolszewicy, realizując swoje wielkie idee polityczno-ekonomiczne, ignorowali te problemy. Wielu uważało, że zbyt duża liczba kobiet w partii osłabi jej przesłanie ideowe, doprowadzi do feminizmu i separatyzmu. W 1917 r. kobiety stanowiły zaledwie 2% członków partii i wszystkie pochodziły z kręgów inteligentnych. Znikoma była liczba kobiet w związkach zawodowych i radach zarządczych przedsiębiorstw. Po powrocie mężczyzn z wojny kobiety były masowo zwalniane z pracy.

Na zjazd kobiet rosyjskich w maju 1918 roku do Moskwy przybyło ich zaledwie 130, a na pierwszą konferencję robotnic aglomeracji moskiewskiej 56! Postanowiono zorganizować ogólnokrajową konferencję kobiet. Zadanie to otrzymały Inessa Armand i Aleksandra Kołontaj. Przydzielono im bardzo skromne środki i minimalne wsparcie organizacyjne.

Oczekiwano przybycia około 300 kobiet, przyjechało ich 1147, większość z dziećmi, których nie miały z kim zostawić. W głodnej Moskwie z trudem zapewniono im talerz zupy, kawałek chleba i kubek herbaty, oraz noclegi w prymitywnych warunkach. Po tym kongresie ruch kobiecy uzyskał oficjalne wsparcie władz. Organizatorki mimo

to były zadowolone z pierwszego sukcesu, szczególnie Inessa, pamiętająca wcześniejsze spory z Leninem na temat roli kobiety w społeczeństwie socjalistycznym, czy relacji seksualnych w rodzinie. Lenin nadal nieufnie odnosił się do nadmiernej swobody seksualnej i w ogóle do swobody kobiet w zakresie podejmowania decyzji w sferze obyczajowej, ale z uwagą traktował warunki kobiecego proletariatu. Szczególnie nurtował go problem, czy kobiety bez zastrzeżeń będą wspierać władzę bolszewików.

Podczas oficjalnych posiedzeń Inessa nie poruszała kwestii „wolnej miłości” i opracowywała kwestę organizacji kobiecych, które na razie nie będą samorządne, lecz będą „wykonywać polecenia dotyczące agitacji i propagandy wśród robotnic i chłopek”, poddadzą się kontroli partyjnej.

Lenin się wreszcie uspokoił. Wydział do Spraw Kobiet będzie narzędziem prozelityzmu i propagandy. Dlatego Inessie udaje się dokonać wyłomu w męskim konserwatyźmie bolszewickiego kierownictwa. Mając na myśli utopijne cele wyeliminowania domowej roli kobiet i zastąpienia jej służbą państwu poddaje w wątpliwość burżuazyjną strukturę rodziny i nie umniejszając męskiej roli burzy pradawne i mocne społecznie rodzinne schematy w „radzieckim feminizmie”.

W publikacjach pojawia się *femina nova*, która tak fascynowała młodą Inessę. W gazecie „Kommunist” w 1919 r. napisała, że „dopóty, dopóki stare formy rodziny, życia domowego i wychowania dzieci nie zostaną zmienione, nie można wykorzystać wyzysku i stworzyć nowego człowieka, nie można zbudować socjalizmu”. Tym razem Lenin w pełni się z nią zgadza. Dalej – pozwolił jej na publikację kolejnego artykułu, w którym pisze: „Praca w domu pozbawiona sensu przytłacza kobietę, ciemnieży, oślepia, drobne gospodarstwo domowe przykuwa ją do kuchni, dzieci. Jest to obłądnie nieproduktywne, oślepiające, skutkuje zmęczeniem. Aby kobiecie pomóc, należy bu-

dować żłobki, przedszkola, publiczne pralnie, stołówki, wprowadzić zmiany również poza stanowiskami pracy, w ogniskach domowych, gdzie w Rosji XX wieku i w pozostałej Europie sprawy bytowe pozostały bez zmian”.

Inessa po wielu latach walki wreszcie zaczęła odnosić sukcesy, ale bardzo zmienił się jej wygląd. Wychudła, policzki jej się zapadły, ścięła piękne kasztanowe włosy. Zawsze elegancka, z salonowymi manierami, przestała dbać o swój wygląd, nosiła stare suknie. W pełni dostosowała się do zgrzebnej, sowieckiej rzeczywistości. Zgasł jej poprzedni zapał i entuzjazm, w jej oczach widać rozczarowanie i smutek. Nawet ponowne zbliżenie z Leninem nie wywołuje blasku w jej oczach. Te dwa lata bardzo ją zmieniły.

W 1919 roku poważnie zachorowała na zapalenie płuc. Lenin bardzo niepokoił się o jej stan zdrowia, ciągle wydzwaniał, a kiedy nie odbierała telefonu – posyłał kurierów z bilecikami, proponował dostarczenie drewna do nieopalanego mieszkania, przysłania kremlowskich lekarzy, obiecywał dostanie dla niej kaloszy i aprowizacji. Wiedział, że dzieci nie mogły się nią opiekować, ponieważ musiały podjąć pracę.

Warunki życia i problemy zaopatrzenia dotyczyły wówczas tak samo kierownictwo partii jak i pozostałą część społeczeństwa. Dopiero później wyrosła despotyczna, bolszewicka nomenklatura. Z jednej strony widać wielką troskę o jej zdrowie, ale Lenin nie zapomina o sprawach partii. W 1920 r. w imieniu Biura Politycznego zleca jej przygotowanie Międzynarodowego Zjazdu Komunistek na koniec lipca; wówczas odbywał się II Zjazd Międzynarodówki Komunistycznej.

Zadanie było ponad siły. Nie miała żadnych pomocników, Wydział do Spraw Kobiet nie miał żadnych kontaktów z międzynarodowym komunistycznym ruchem feministycznym. Żadnej pomocy nie mogły udzielić bolszewiczki z doświadczeniem



międzynarodowym, A. Kołontaj też miała problemy zdrowotne, a N. Krupskaja pracowała w Komisariacie do spraw edukacji. Odczuła też brak zaufania ze strony Kominternu, który nie wyasygnował środków i nie wspierał organizacji kobiecych; nie był tym zainteresowany.

Delegatki po kilku dniach obrad wspólnego zjazdu w Piotrogradzie przybyły 30 lipca 1921 r. do Moskwy na sesję roboczą, poświęconą sprawom kobiet. Po czterech dniach wróciły ze sprawozdaniem na sesję ogólną do Piotrogradu.

W Moskwie debatowano nad sprawami organizacyjnymi. Delegatki z Anglii, Niemiec i Szwecji chciały, aby organizacje kobiece funkcjonowały poza partią. D, delegatki z Francji uważały, że sprawy kobiet należy odłożyć na czas po rewolucji. Wiele z nich z nieufnością traktuje feminizm jako niebezpieczne odchylenie.

Inessa proponuje model rosyjski: kobiety mogą stworzyć swoją organizację wewnątrz partii. Jej propozycja wreszcie zyskuje aprobatę. Inessa cieszy się, że przyniosła sukces bolszewikom. Niestety, na zachowanych fotografiach nie widać tej radości: widać kobietę zmęczoną, z obojętną twarzą, ledwie trzymającą się na nogach, nie ma nawet cienia uśmiechu.

Inessa widzi, jaki koszmar zapanował w jej kraju, widzi cierpienie narodu. Obserwuje spadające poparcie dla Lenina, oddziały specjalne, przepełnione więzienia, w których siedzą „zdradcy”. Zastanawia się, czy nie było innego wyboru oprócz tej „krwawej łaźni”? Widzi jak zostało rozgrabione i zniszczone rodzinne gniazdo Armandów w Puszkynie, drzewa w pięknym parku wyrabane na opał, na pięknych niegdyś klombach i ogródkach kwiatowych pasą się krowy, resztki rezydencji walają się w błocie. Wyjazd do Francji też nie wchodzi w rachubę, może skończyć się aresztowaniem. Dzieci jako potomkowie kapitalistów muszą podjąć taką pracę, jaką wyznaczy im nowa władza. Jej pozycja niczego im nie gwarantuje.

Lenin proponuje jej wyjazd wraz z synem zagrożonym dziedziczną gruźlicą do sanatorium na Kaukaz. Zapewnia, że miejscowi działacze zorganizują pobyt i leczenie. Inessa zgadza się, mimo że trwa tam jeszcze wojna domowa.

Odbywa się jeszcze jedno spotkanie z Leninem. Żadne z nich nie przypuszcza, że to już ostatnie.

Warunki w sanatorium są katastrofalne, udostępniono jej pomieszczenie na zapleczu, bez prądu, ogrzewania, z maleńkim

okienkiem pod sufitem. Nic jej nie cieszy, w pamiętniku napisała: „moje serce umarło”. Ma 46 lat, uświadomiła sobie, że cel jej życia okazał się utopią, pełną kapitulacją młodzieńczych ideałów.

Lenin niemal codziennie telefonuje, wyraża niepokój, żąda od miejscowych działaczy więcej troski. W związku z działaniami wojennymi przyszedł rozkaz natychmiastowej ewakuacji z Kisłowodzka. Następnego dnia przybyli do Biesłanu. Inessa próbuje zdobyć trochę żywności dla siebie i towarzyszy podróży. Podczas wyprawy do miasta zaraziła się cholera.

Początkowo choroba nie dawała wyraźnych symptomów. W Nalczyku wzięła udział w zebraniu miejscowej władzy, na którym omawiano książkę Lenina „Dziecięca choroba «lewicowości» w komunizmie”. Żarliwie broniła idei Lenina. Choroba dała o sobie znać nocą. Trafiała do miejscowego szpitala. Diagnoza nie pozostawiła złudzeń. Zmarła 24 września 1920 roku.

Ciało pozostawało w prosektorium. W trybie pilnym organizowano przewóz do Moskwy. Po jedenastu dniach ciało w brzydkiej cynkowej trumnie dotarło na dworzec Kazański w Moskwie. Na dworcu czekał Lenin. Szedł pieszo całą trasę za trumną. Na białym, jeszcze carskim katafalku przewieziono trumnę do Domu Rad. Tam odbyła się ceremonia pożegnalna.

Stalin polecił później wyretuszować ze zdjęcia twarz zrozpaczonego Lenina. Jak pisały w swoich wspomnieniach A. Kołontaj i A. Bałabanowa, „oczy miał pełne łez, na twarz nasuniętą czapkę z daszkiem, pod rękę prowadziła go N. Krupka”. Nekrologi zamieściły dwie gazety: „Prawda” i „Izwestia”. Orkiestra wojskowa wykonała „Międzynarodówkę”.

Z emocjonalną mową pożegnalną wystąpiła A. Kołontaj. Mowę tę następnego dnia wydrukowała „Prawda”. W przemówieniach ukazano portret wiernej bojowniczkii o sprawy partii i bolszewizmu. Została pochowana wbrew protokołowi par-

tyjnemu pod murem kremłowskim obok innego cudzoziemca, J. Reeda, który kilka dni wcześniej też zmarł na cholera.

Naród radziecki miał ją zapamiętać wyłącznie jako zawodową rewolucjonistkę, wykształconą, zdyscyplinowaną, bez reszty poświęcającą się sprawom partii i walce o prawa kobiet. Jej zbliżenie z Leninem wynikało z niezwykłego poświęcenia się idei. Była zaufaną towarzyszką i przyjaciółką rodziny Uljanowów.

Innej wersji być nie mogło i kiedy dziennikarz B. Wolf w czasopiśmie „Slavic Review” wspomniał, że w 1914 r. Lenin i Inessa spędzili tydzień w Paryżu (ten artykuł przedrukował „Time” w 1964 r.), nie tylko zamknięto biuro gazety, ale i korespondenta wydano z Moskwy.

Jej związek z Leninem trwał 11 lat. Kiedy otwarto archiwa partyjne na początku lat dziewięćdziesiątych XX w., historyk D. Wołkogonow znalazł w jednym z kartonów zawierających archiwum I. Armand jej bardzo osobisty list do Lenina. Zakładał on, że włożyła go tam córka Inesy Inna. Zdaniem Wołkogonowa Inessa „była najjaśniejszym promieniem w życiu Władimira Iljicza”.

Nazwa ulicy im. I. Armand w Moskwie pojawiła się dopiero w 1984 roku. □

Bibliografia

1. D. Wołkogonow „Lenin, prorok kraju, apostoł piekła”, przekład M. Antosiewicz, Warszawa, wyd. Amber 2006;
2. L. Wasiliewa „Kremłowskie żony”, przekład A. Wołodźko-Butkiewicz, Warszawa, wyd. Philip Wilson, 1995;
3. J. Besala „Miłość tyranów”, wyd. Czerwone i Czarne Sp. z o.o., Warszawa 2013;
4. Ританна Армени «Об этой любви никто не должен знать. Арманд и Ленин», przekład Наталия Колесова, Лимбус-Пресс, Москва 2017;
5. Гелий Клейменов, «Правда и неправда о семье Ульяновых», изд. Collib, 2020;
6. Б. Соколов «Арманд и Крупкая: женщины вождя», изд. Русич, Смоленск 1999, Серия: Биографии и мемуары.

POSZUKIWANY, POSZUKIWANA

Zaroilo się nam od prokuratorskich zarzutów, od afer i aferek (jak to określił Prezes), od podejrzeń o nielegalne działania itd., itp.

Wydawałoby się jeszcze całkiem niedawno, że oficjalnie postawiony zarzut o łamanie prawa byłby równy trzęsieniu ziemi, powodowałby łamanie politycznych karier. Zarzuty są i co? Ano – nic. Oskarżenia pozują na męczenników zaszczuwanych politycznie, zaprzeczają ewidentnym faktem, w końcu po prostu kłamią bez zmruczenia oka. I co? I nic się nie dzieje.

„Gdyby cię złapano za rękę, mów, że to nie twoja ręka” – ten cytat już zdążył się utrwalić w świadomości społecznej. Już nic nie jest w stanie nas zadziwić. Zanikają kryteria zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Wstyd schował się do kąta. Już nikomu nie jest potrzebny, nikt z nim się nie liczy.

Nie dziwią nas także informacje o poszukiwaniach dziwnie znikających polityków. Ukrywanie się stało się niejako ich nową specjalnością. Nie tak dawno ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości

było domeną rzezimieszków, typów spod ciemnej gwiazdy, słowem przestępców. Dzisiaj kategoria ukrywających się znacznie się powiększyła. Wstyd znowu siedzi w kącie. Nic nie mówi, bo cóż tu można powiedzieć? A gdyby tak zaczęli się wstydzić ci, którzy na tych „artystów” głosowali? Ciekawe, czy dzisiaj któryś z wielbicieli prawej strony politycznej oficjalnie przyznałby się do swych sympatii politycznych?

Obawiam się, że najświeższy przykład lewicowego ministra nauki nie jest pojedynczy i jest nic nieznaczącym incydem. Wielkim grzechem lewicy jest dotychczasowy brak reakcji na to zjawisko. Obciąża ich gremia kierownicze.

Nie jestem już młodzieniaszkiem, ale nigdy nie pomyślałem, że dożyję czasów, gdy panom i paniom parlamentarzystom w dość groteskowy sposób pomyślą się ławy sejmowe z ławami sądowymi.

Marchoń



CIUT PRYZWOITOŚCI

– Babciu, ja na najbliższe wybory nie idę!

Słowa mojego wnuka wprawiły mnie w osłupienie. Jak to? Mój wnuk, zawsze rozsądny, nieulegający byle jakim emocjom politycznym, używający na co dzień rozumu... I on nie idzie na wybory? Tego się nie spodziewałam! Jednak nie miałam zamiaru ot-tak się poddawać.

– A dlaczego, jeśli łaska, nie pójdziesz? Możesz mi wytłumaczyć? – zagadnęłam niby to spokojnie.

– A bo gdzie człowiek popatrzy, to nagle sami zbawcy ojczyzny, sami opiekunowie narodu, sami wszystkowiedzący! Ci sami, którzy dotychczas bezsilni i na dodatek leniwi, niekompetentni – teraz przed nadeciągającymi wyborami nagle stali się własną przeciwnością! Babciu, to jest nieprzyzwoite, obrzydliwe, to jest...

– Co się tak wydzierasz? Stało się coś? – Do kuchni weszła wnuczka zwabiona podnieconym głosem brata.

– Stało się, jasne, że się stało! Oszuści, ściemniacze i macherzy znowu powylazili na światło dzienne. Już się szykują, bo na kolejnych wyborach można zarobić! Ileż tak można? Ja wymiękam! Nie mogę. Robią mnie, no, nas wszystkich w bambuko, my głosujemy, a potem okazuje się, że siedzimy po uszy w szambie. Paranoja i już!

– Moja ukochana wnusia patrzyła w milczeniu to na mnie, to na brata, Wreszcie głośno westchnęła:

– Wiesz, masz rację, trudno o osobę publiczną godną zaufania. Jak nie jakiś przekręciarz, to całkowity idiota, przekonany o swojej wyjątkowości. I jak tu się rozeznac w tym towarzystwie? Ja też się zastanawiam, czy już w trzydziestopar-

milionowym narodzie tak trudno znaleźć kogoś naprawdę kompetentnego? Chyba tacy są, ale dlaczego nie startują?

Postanowiłam się wtrącić.

– Słuchajcie, przecież kiedyś opowiadaliście, że były w waszej szkole wybory do samorządu uczniowskiego i był wielki kłopot, bo naprawdę wartościowi nie chcieli startować. Za żadne skarby. I co było potem? Samorząd „z łapanki”. Tak było? No.

Moje wnuki spojrzały po sobie.

– No, niby tak... – Wnuk wyjadał z miski daktyle potrzebne do ciasta.

– Acha, dobrze pamiętam. – Wnuczka zaparzyła świeżą herbatę.

– No i co? Wszyscy zostawili bieg rzeczy na pastwę losu, prawda? – Dopytywałam jak prokurator.

– Wnuki zgodnie przytaknęły.

– No, babciu, ale jak skłonić i kogo skłonić, żeby ci najlepsi startowali? No jak? – wnuk skończył jeść daktyle.

Choć nie wiedziałam, czy mam rację, zdecydowanie odpowiedziałam:

– Tego trzeba się nauczyć od dziecka. Trzeba też uczyć własne dzieci. Uczyć, że nie wystarczy być kompetentnym. Trzeba mieć odwagę, by tego bronić, znajdować sojuszników do uczciwej obrony własnych wartości i przekonań.

– Uczciwej? – Moje wnuki rzadko mówiły jednogłośnie i zgodnie.

– Wiem, wiem, że w naszej rzeczywistości uczciwość i polityka to dwa różne światy. Wiem. Ale nie wolno rezygnować. Trzeba walczyć, żeby... No, wiecie co mam na myśli.

Babcia

DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIĆ

Polacy pracują najdłużej w Europie obok Greków. Nie przeszkadzało to poprzedniemu rządowi, którego premier uważał, że miska ryżu i wolne niedziele – choć nie wszystkie i nie dla wszystkich – powinny wystarczyć do szczęścia.

Bardzo ciekawie implementowano unijną dyrektywę Work-life balance. Zmiany dla rodziców wychowujących małe dzieci okazały się dosyć ważne i korzystne. Reszta obywateli uzyskała prawo do dodatkowych dni urlopu bezpłatnego oraz płatnego w 50 %. Nic tak nie cieszy pracownika jak możliwość wzięcia bezpłatnego urlopu... Pozostałe kwestie są dyskutowane. Mówi się o skróceniu czasu pracy, ale też o przywróceniu handlu w niedziele. Generalnie, mówi się...

Burzę w szklankach i banieczkach wzbudziła propozycja ministry pracy, by Wigilię Bożego Narodzenia – drugiego pod względem ważności święta chrześcijan, a na pewno katolików – uczynić dniem wolnym od pracy. Jako żywo przypomina to wprowadzenie dnia wolnego w Święto Sześciu, pardon, Trzech Króli. Pomysł ten oburzył Ryszarda Petru, który uważa, że 24 grudnia mogłby być dniem wolnym jedynie kosztem innego święta w roku. Ja bym sugerował tychże Króli czy też Mędrców, choć do nich posła Petru trudno zaliczyć. To rzecznik przedsiębiorców w partii Hołowni, choć przedsiębiorcą nigdy nie był, ideowy syn Balcerowicza, choć współpracował też z księdzem Sową i zakonikiem Ziębą.

Co ciekawe, domagając się dnia wolnego w Trzech Króli, nie liczone strat dla gospodarki, PKB i biznesu. Nie spytano też o zdanie episkopatu. W sumie episkopat nie protestował.

Teraz, gdy padła propozycja wolnego dnia 24 grudnia, ministra funduszy regio-

nalnych, koleżanka Petru z Trzeciej Drogi, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, pełniąca funkcję wice-Hołowni, wyceniła straty dla gospodarki na 6–8 mld złotych. Podobnie jak Petru, ministra nigdy normalnie nie pracowała ani nie prowadziła firmy. W przeciwnym razie oboje by wiedzieli, że 24 grudnia jest dniem intensywnej, choć nieco krótszej pracy chyba jedynie w handlu detalicznym. Na pewno nie jest takim zwykłym dniem roboczym, jakim kiedyś był 6 stycznia.

W ramach tzw. kompromisu (a trzeba przyznać, że „tak zwany kompromis” to specyficzne sformułowanie dla rządów po roku 1989) politycy Polski 2050 zgodziliby się na wolną Wigilię w zamian za inny dzień wolny dzień, który stałby się dniem pracy. To jak w ewangelicznej opowieści o wyrzuceniu handlarzy, którzy na terenie świątyni targowali się o dodatkowe zyski. A przecież kto jak kto, ale autor uwspółcześnionej biografii Boga (katolickiego) „Bóg, życie i twórczość” (do dostania w Taniej Książce) powinien znać Ewangelię.

No, ale skoro zyski są ważniejsze niż prawie największe święto katolickie, to zobaczymy, jak ten targ mogłby wyglądać. Jak sądzę, w grę wchodziłyby dni wolne od pracy z okazji świąt, ale nie kościelnych. Wiele takich dni do handlu – kompromisu, znaczy się – nie ma.

Jest 1 stycznia, który jest początkiem roku i w zasadzie dniem odpoczynku po Sylwestrze, ale, niestety, jest to najstarsze święto maryjne. Dogmat o Bożym macierzyństwie Najświętszej Maryi Panny został zatwierdzony w roku 431 w czasie III Soboru Powszechnego w Efezie. To drugi powód, by z tego święta nie rezygnować.

15 sierpnia to święto polskiej armii, ale też Święto Wniebowzięcia, więc chyba nie podlega targom, bo dnia cudu nad Wisłą ani

Kościół, ani wojsko nie odpuści. Wiadomo przecież, że i jedno, i drugie cudami stoi.

W listopadzie mamy Dzień Niepodległości, który nie był żadnym dniem niepodległości. Po prostu trzech facetów kolaborujących z zaborcami zaprosiło na wódkę świeżo przybyłego do Warszawy Piłsudskiego, a samo spotkanie było oczywiście nagrane wcześniej przez pruskie władze. Nie przewidziano jednak, że tego samego dnia podpisany zostanie rozejm faktycznie kończący I wojnę światową. Na ziemiach polskich już od 7 (a w zasadzie od 6) listopada działał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej zorganizowany przez partyjnych kolegów Piłsudskiego. Dzień wolny niejako na swoją cześć ustanowił Piłsudski po zamachu w 1926 roku okólnikiem swoim, czyli premiera. W sumie zrobiono to bardziej legalnie niż przy wprowadzaniu religii do szkół w roku 1990.

Cóż, ja chętnie bym oddał 11 listopada w zamian za 24 grudnia, tym bardziej, że politycznie świętuję 7 listopada, prywatnie 12 listopada, a gdybym obchodził imieniny,

to robiłbym to 24 grudnia. No, ale nie każdemu Polakowi akurat Adam.

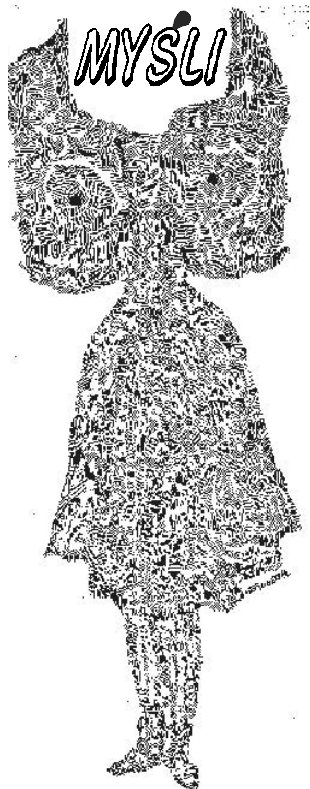
Jeśli nie 11 listopada, to zostają tylko majówki. 1 maja jest świętem ludzi pracy. To byłaby ironia i chichot historii, gdyby zamieniono je na Wigilię. Jak wiadomo, ludzie pracy nie są już ważni, ważne, że pracują i nawet dostają wynagrodzenie. Wtedy świętują. W dodatku 1 maja niczego nie zmienia, a jedynie może wzbudzać niezdrowe wspomnienia i cichutkie tęsknotki za słusznie minionym socjalizmem.

3 maja to też dziwne święto. Święto Konstytucji, która została uchwalona niemal tak legalnie jak stan wojenny w 1981 roku. Nigdy nie weszła w życie, stała się też jedną z przyczyn rozbioru Polski, gdy wyparł się jej król Staś, jeden z jej inicjatorów. I co tu świętować? Czyż nie lepiej Targowicę? Ta przynajmniej była sukcesem.

A jeśli nie Targowicę, to przynajmniej Wigilię. W bonusie będą handlowe niedziele.

Wesołych Świąt!





- Tam, gdzie ludzie przestrzegają prawa, państwa są silne i szczęśliwe.

Ksenofont

- Dobrego człowieka nie może spotkać nic złego: przeciwieństwa nie chodzą ze sobą w parze.

Seneka Młodszy

- Niektórych ludzi winno się zażywać tylko w bardzo małych dawkach.

Ralph Waldo Emerson

- Człowiek mógłby wejść do nieba za cenę połowy tych trudów, jakie kosztuje go zasłużenie sobie na piekło.

Henry Fielding

- Nie można być zawsze bohaterem, zawsze jednak można zostać człowiekiem.

Johann Wolfgang Goethe

- Egoizm nie polega na tym, iż żyje się tak, jak się chce, lecz na żądaniu od innych, by żyli tak, jak my chcemy.

Oskar Wilde

- Jeśli potrzebujesz pieniędzy, udaj się do obcych. Jeśli rady – do przyjaciół, a jeśli nie potrzebujesz niczego – do krewnych.

Mark Twain

- Kto nie chce myśleć, jest bigotem. Kto nie potrafi – durniem. Kto nie ma po temu odwagi – niewolnikiem.

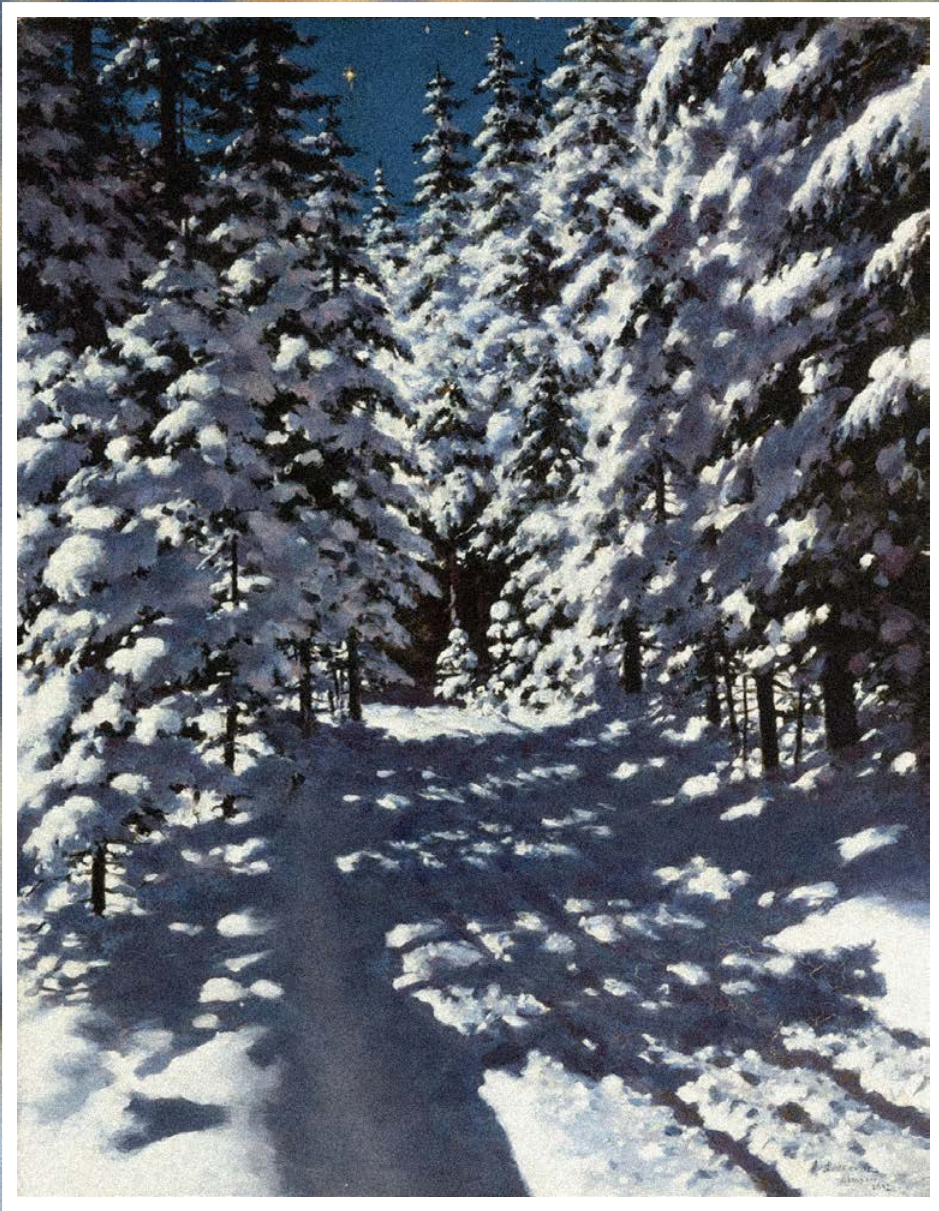
William Drummond



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Stanisław Ignacy Witkiewicz
Las, 1892